

*Cartland Barbara*



*Maską miłości*

## **Od Autorki**

Szczegóły ostatnich dni niezależności Wenecji i opis *bagno* w Tunisie oraz zwyczaje barbarzyńskich piratów są zgodne z prawdą.

W 1792 roku Francja wypowiedziała wojnę Austrii, a cztery lata później Napoleon Bonaparte wydał wyrok na Republikę Wenecką. Ostatnim dożą był Ludovico Manin. Przez trzy wieki barbarzyńscy piraci i korsarze terroryzowali i plądrowali basen Morza Śródziemnego.

W 1634 roku w Algierze przebywało ponad dwadzieścia pięć tysięcy chrześcijańskich niewolników, a flota barbarzyńców liczyła ponad sto pięćdziesiąt okrętów.

„Dziś chrześcijanie są tani” — brzmiał handlowy slogan. Najładniejsze kobiety wysyłano zwykle do Konstantynopola, dla sułtana.

Dopiero kiedy Francuzi zajęli Algier w 1830 roku, skończył się ten okrutny handel.

## **Rozdział 1**

ROK 1791

**N**te możemy tu stać całą noc! Masz zamiar zatańczyć ze mną czy nie? — głos kobiety był ostry, lecz jej oczy błyszczały, gdy podekscytowana obserwowała rozbawionych uczestników karnawału na placu św. Marka. Byli tak doskonale poprzebierani, że nie rozpoznałaby ich nawet najbliższa rodzina. Wśród ogromnej różnorodności kostiumów, kolory mieszały się jak w kalejdoskopie.

— Jest zbyt tłoczno — odparł powoli mężczyzna. — I o wiele za gorąco.

— Dla mnie nigdzie nie jest zbyt tłoczno — zripostowała kobieta — po tygodniach śmiertelnie nudnej szarości morza i uczuciu nieustannego kołysania.

Ukryta pod maską twarz markiza Melforda wyrażała znudzenie. Nie raz, lecz tysiące razy słyszał tę skargę i znów żałował pochopternej

decyzji zaproszenia swej kochanki we wspólny rejs do Wenecji.

— Spójrz na tego człowieka! — wykrzyknęła Ódette, zapominając o przyczynie swej irytacji. Obiektem jej zainteresowania był ak-robata zjeżdżający na ziemię po linie umocowanej do wierzchołka dzwonnicy kościelnej. Kiedy dotarł bezpiecznie na dół, rozległy się brawa. Jednakże wokół tyle było innych popisów siły i zręczności, tyle zabawnych scen, które przyciągały uwagę, że widz szybko dawał się oszołomić.

Ponad tym wszystkim dźwięczała muzyka. Setki ludzi tańczyło pośrodku placu i Odette pociągnęła tam markiza.

— Chodź! — wykrzyknęła. — Muszę zatańczyć! Muszę!

— Dlaczegoż by nie, śliczna pani? — rozległ się jakiś głos i chwilę potem Odette wirowała w czyichś ramionach, pozostawiając markiza samego. Nie zakłóciło to jego spokoju. Znał Wenecję wcześniej i wiedział, że zabawy karnawałowe, ciągnące się czasami przez sześć miesięcy w roku, były pretekstem dla nieprzerwanej wesołości i rozrywek; okresem, kiedy zapominano o konwenansach i etykiecie.

Wenecja, miasto przyjemności i miłości, tak bardzo przepełniona była frywolnością, że nie dało się zachować powagi w tym bajkowym miejscu.

Przed kawiarenkami na placu ludzie pili wino i plotkowali. Po kanałach pływały gondole, których kolorowe baldachimy odbijały się jasnymi plamami od zielonkawej powierzchni laguny.

— Czy... możemy porozmawiać, milordzie? — rozległ się cichy, nieco zdyszany, kulturalnie brzmiący głosik. Obejrząwszy się, markiz ujrzał stojącą obok kobietę.

Trudno było domyślić się, jak wygląda, gdyż nosiła maskę, a jej włosy i ramiona zakrywał koronkowy welon spływający z trójgraniastego kapelusza. Odślonięte miała tylko usta i markiz zauważył, że były bardzo młode i pięknie wykrojone.

— Będę zaszczycony — odparł. Kobieta mówiła po angielsku, więc odpowiedział jej w tym samym języku.

— Czy moglibyśmy gdzieś... usiąść?

— Ależ oczywiście — odrzekł markiz. Podał nieznajomej ramię i poprowadził ją przez tłoczącą się ciżbę.

Markiz wybrał stolik w tej części kawiarenki, gdzie siedziało niewielu klientów. Większość ludzi wolała być jak najbliżej przechadzających się i tańczących na placu tłumów. Nieznajoma usiadła, a markiz przywołał kelnera.

— Woli pani wino czy czekoladę? — zapytał.

— Poproszę o czekoladę.

Markiz złożył zamówienie, a potem odwrócił się, aby spojrzeć na swoją towarzyszkę. Z tego co zdołał spostrzec, Wywnioskował, że była bardzo młoda. Wydawało mu się też, choć mógł się mylić, że jej oczy spoglądały zza czarnej maseczki nieco lękliwie.

— Zapewne jest pan zdziwiony, że zwracam się tak bezpośrednio — powiedziała — lecz chciałam... tak bardzo chciałam zapytać pana o... Anglię.

— O Anglię? — powtórzył zaskoczony markiz.

— Tęsknię za domem — wyjaśniła.

To go rozbawiło. Nie tego oczekiwał od Angielki — jeśli taka była jej narodowość — przebywającej w Wenecji.

— Nie bawi to pani? — machnięciem ręki wskazał tłumy.

— Nienawidzę tego! — oświadczyła. — Nie chcę jednak mówić o sobie. Chcę wiedzieć, czy żonkile nadal złocą się w londyńskich parkach, czy w Rotten Row wciąż są te wspaniałe konie, czy uliczni sprzedawcy wołają „słodka lawenda!”, kiedy przynoszą swoje kosze ze wsi. — W młodym głosie słyhać było delikatne drzenie, które przekonało markiza, że wszystko, co mówiła, miało dla niej duże znaczenie.

— Czy zdradzi mi pani swoje imię? zapytał. Widząc, że zeszywniała, dodał szybko. — Nie chodzi mi o nazwisko, oczywiście! Wiem

doskonale, że wszyscy jesteśmy anonimowi podczas karnawału. Pani jednak wiedziała, że jestem Anglikiem.

— Tak, wiedziałam — odparła dziewczyna. — Widziałam pana w gondoli na Canale Grandę i ktoś powiedział mi, kim pan jest.

— Mam uczucie, jakbym był trochę oszukiwany — zauważył markiz żartobliwie.

— Może trochę — odparła dziewczyna. — Mam na imię Caterina.

— W Wenecji to popularne imię — skomentował markiz. — A jednak jest pani Angielką.

— *r* W połowie — poprawiła go. — Mój ojciec był Wenecjaninem, lecz ja zawsze mieszkałam w Anglii. Przybyłam do Wenecji dopiero trzy tygodnie temu.

— Więc dlatego tęskni pani za domem.

— Kocham Anglię! — wykrzyknęła Caterina żarliwie. — Wszystko w niej kocham: konie, ludzi, nawet klimat!

Markiz roześmiał się.

— Jest pani naprawdę uprzedzona. A przecież Wenecja jest bardzo piękna.

— Wenecja jest jak dziecięca zabawka — odparła lekceważąco — a jej mieszkańcy są jak dzieci. Przez cały czas bawią się i nikt nie mówi poważnie.

— A dlaczego pani, w tym wieku, miałaby być poważna?

— Ponieważ interesują mnie rzeczy, które Wenecjanie albo ignorują, albo na których się zupełnie nie znają — odparła. — Kiedy mieszkałam w Anglii — powiedziała przyciszonym głosem — ludzie odwiedzający nasz dom dyskutowali o polityce, książkach, sztuce, odkryciach i wynalazkach naukowych. To było takie interesujące! A tutaj wszyscy mówią tylko o miłości. — W młodym głosie zabrzmiała pogardliwa nuta, która markiza nieco rozbawiła.

— Kiedy będzie pani trochę starsza — powiedział — niewątpliwie ten temat stanie się dla pani równie interesujący i ekscytujący, jak dla większości przedstawicielek pani płci. — Jego głos był lekko kpiący. Caterina spojrzała na niego.

— Czyż miłość może być ekscytująca? — zapytała.

— Jeśli jest się naprawdę zakochanym — odparł markiz. Ton jego głosu był cyniczny, co nie uszło uwagi Cateriny.

— Pan... nie odpowiedział — powiedziała wolno — na moje pytanie.

— O żonkilach? — zapytał. — Kiedy wyjeżdżałem, rozpościerały się jak złoty dywan wokół mojego wiejskiego domu, a w całym Londynie wyglądały jak małe żółte trąbki: w ogrodach przy Berkeley Square, w St. James Parki w wielkich koszach, z których sprzedawano je na ulicach.



— Wiedziałam! — wykrzyknęła Caterina. — A potem pod migdałowcami pojawią się bzy, purpurowe i białe, i dzwoneczki, a ich kwiaty będą opadać na zielone trawniki — westchnęła lekko. — Czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze zielone trawniki?

— Nieliczni tylko — odrzekł markiz — zamieniliby kanały, plac św. Marka z błękitną laguną i słońce Wenecji na mgły, deszcze i często brzydką londyńską pogodę.

— Ja bym zamieniła! — odparła natychmiast Caterina.

— Jak długo będzie pani w Wenecji? — zapytał markiz.

— Zawsze! — odparła z rozpaczą w głosie.

— Z czasem polubi pani Wenecję — powiedział proroczo. — Zmiana otoczenia wpływa na nas ujemnie. Za rok o tej porze będzie pani cieszyć się karnawałem, śmiać z jego frywolności i przeżywać dzikie przygody, które są nieodłączną częścią zabawy.

Mówiąc to, markiz zastanawiał się jednocześnie, jak ktoś tak młody zdołał wymknąć się spod opieki przyzwoitki, która musiała podczas karnawału towarzyszyć każdej dziewczynie.

Kobiety zameżne cieszyły się nieograniczoną swobodą, nie znaną w innych częściach Europy. Plotki dotyczyły tylko wyjątkowo skandalicznych przygód, które zdarzały się

w kawiarenkach, nad laguną lub nawet w kościołach.

Zamaskowani mężczyźni wchodzili, kiedy tylko chcieli, na teren klasztorów. Nie było żadnych barier. Nie było bogatych ani biednych, policji ani przestępców, praw ani prawodawców.

Był jedynie karnawał, ale któż zbuntowałby się przeciw czemuś równie ekscytującemu i kuszącemu? Pewien sławny Wenecjanin powiedział kiedyś: „Cały świat jest oczarowany weneckim karnawałem”.

— Jak długo zamierza pan tu zostać? — zapytała Caterina.

— Niedługo — odparł markiz.

— A więc nie bawi się pan!

— Z pani strony jest to nader niesprawiedliwe przypuszczenie — rzekł zimno. — Sądzę, że Wenecja jest bardzo interesująca, a ja, podobnie jak pani, nie jestem w nastroju do takiej frywolności.

— Pożegluje pan do Anglii — odparła Caterina — przyjaciele powitają pana z radością i będziecie dyskutować o tak wielu istotnych sprawach.

— Skąd pani wie, czy nie jestem zwykłym dyletantem, hazardzistą, poszukiwaczem przyjemności, którymi pani tak wyraźnie gardzi? — zapytał markiz.

— Kiedy wskazano mi pana wczoraj — odparła Caterina — powiedziano również, że

jest pan człowiekiem mądrym, który przyjechał tu, aby uczestniczyć w poważnych rozmowach z Radą Dziesięciu.

Markiz znieruchomiał. Spoza maski uważnie przyglądał się Caterinie. Tego z pewnością nie spodziewał się usłyszeć, a na pewno nie od kobiety podczas karnawału.

Była to prawda, choć sądził, że nikt jej nie zna i nikt nie wie o jego przybyciu do Wenecji na prośbę brytyjskiego premiera, pana Williama Pitta, aby przedyskutować tajne zagadnienia polityczne z Radą, która władała Wenecją. Na nieszczęście przyплыł po rozpoczęciu karnawału, a nie, jak zamierzał, tydzień wcześniej. Winien temu był sztorm w Zatoce Biskajskiej, jak również kilka napraw jachtu na Malcie, które jeszcze bardziej wydłużyły podróż.

Milczał zaskoczony. Po chwili Caterina powiedziała nerwowo:

— Nie powinnam była tego mówić! Może powód pańskiego przybycia jest tajemnicą.

— Myślałem, że tak jest w istocie — odparł.

— W takim razie obiecuję, że nikomu o tym nie powiem — zapewniła. — Nie musi się pan obawiać, że sprawię kłopot.

— Jest to mało prawdopodobne — rzekł markiz — jednak byłoby lepiej, gdyby pani zatrzymała dla siebie swoje spostrzeżenia.

— Przyrzekam, że będę milczeć o wszystkim, co mogłoby pana dotyczyć — odparła

Caterina. — Niedobrze zrobiłam przychodząc tu, lecz tak bardzo chciałam z panem rozmawiać.

— Z pewnością nie przyszła tu pani sama?

— Nie, oczywiście, że nie — odrzekła. — Przyszłam z pokojówką. Czeka w gondoli przy pierwszym moście na drodze powrotnej z placu.

— W takim razie najmądrzej będzie, jeśli odprowadzę panią do niej — odparł markiz.

— Muszę już iść? — zapytała Caterina. — Nie ma pan pojęcia, co to dla mnie znaczy słuchać pańskiego głosu, języka angielskiego, i mieć świadomość, że jestem z kimś... z domu — ostatnim słowem towarzyszył stłumiony szloch.

— Czy Anglia naprawdę tyle dla pani znaczy? — zapytał.

— Znaczy szczęście, bezpieczeństwo i przynależność — odparła Caterina. — Tu jestem obca. Nie pasuję do ich stylu życia ani zainteresowań, nie wierzę w to, co dla nich jest ważne.

— To się zmieni na lepsze — odparł markiz uspokajająco.

— Chciałabym w to wierzyć — odpowiedziała. — Lecz nie zamierzam obciążać pana moimi kłopotami. Będę pamiętać każde pana słowo, milordzie, myśleć o wszystkim i będzie mi to pociechą w tym, co nieuniknione!

Zaciekawiło to markiza.

— Czy mogę jakoś pomóc? — zapytał i zanim skończył mówić, zastanowił się, czy propozycja nie była zbyt pochopna.

— Niczego nie może pan zrobić, milordzie — odpowiedziała. — Lecz wdzięczna jestem za pańską dobroć. A teraz, jeśli nie sprawi to dużego kłopotu, czy mógłby pan odprowadzić mnie do miejsca, gdzie czeka moja pokojówka? Bałabym się iść tam sama.

— Zaprowadzę panią — powiedział markiz, zgadzając się, że to może być dla niej niebezpieczne.

Wsunąwszy rękę pod ramię Cateriny, markiz torował sobie drogę przez tłum, powoli oddalając się od baśniowego placu oświetlonego kryształowymi lampami. Zbliżali się do ocienionej ulicy prowadzącej do kanału, gdzie czekała gondola.

Caterina nie spodziewała się, że markiz odprowadzi ją do samej gondoli. Zatrzymała się więc u szczytu schodów wiodących do kanału. Myśląc, że jest zakłopotana, nie próbował jej przekonać, że jego towarzystwo może być jeszcze potrzebne.

— Dziękuję — powiedziała nieśmiałym, nieco zdyszonym głosem, podobnie jak odezwała się do niego po raz pierwszy. — Dziękuję, milordzie! Byłam z panem bardzo szczęśliwa.

— Jestem zaszczycony, że mogłem poznać panią — odparł markiz. — Życzę wiele szczęścia w przyszłości.

Kiedy to mówił, tłum zamaskowanych rozbawionych ludzi wtargnął na most. Markiz wiedział, jak zuchwały i nieokrzesany potrafi być tłum, więc ujął Caterinę pod ramię i odciągnął ze schodów w cień pobliskiego pałacu.

— Teraz pani widzi — rzekł nieco surowo — że ktoś tak młody nie powinien przychodzić na karnawał samotnie. Powinna mieć pani towarzysza do ochrony.

— Rozumiem — odpowiedziała. Spojrzała na niego. Poprzez zapadający zmrok widział delikatny blask jej oczu i lekkie drżenie ust.

— Żegnaj, Caterino — powiedział cicho. Nie poruszyła się, więc objął ją ramieniem, uniósł nieco podbródek, pochylił się i pocałował w usta. Jej wargi były delikatne, słodkie i niewinne. Przez chwilę markiz nie wypuszczał jej z objęć. Była to chwila oczarowania, jakiego się nie spodziewał. Od wielu lat nie spotkał kobiety o tak bezbronnych i delikatnych ustach. W końcu uwolnił ją z ramion.

Nie poruszyła się, stojąc z twarzą wciąż zwróconą ku niemu. Wreszcie odwróciła się i bez słowa pobiegła. Widział ją przy stopniach wiodących do kanału, a później zbiegającą w dół i dopiero, kiedy znikła mu z oczu, odwrócił się i poszedł wolno w stronę placu św. Marka.

Hałas uderzył w niego kakofonią dźwięków. Przez kilka minut przyglądał się ludziom na placu, a potem przeszedł w kierunku nadbrzeża, zatrzymał gondolę i kazał się zawieźć do pałacu Tamiazzo.

Uroczystości, które nastąpiły po Dniu Wniebowstąpienia, były najweselszą i najbardziej olśniewającą częścią karnawału. W święto Sensy, podczas którego czczono zwycięstwo nad Barbarossą, doża, według przysługującego mu prawa, poślubiał morze.

Wenecja walczyła dla papieża Aleksandra III, który w dowód wdzięczności ofiarował doży pierścień i powiedział:

— Niech potomność pamięta, że morze jest twoje prawem zwycięzcy. Jest ci poddane, jak żona jest poddana mężowi.

Coroczne święto zaślubin obchodzono uroczyście od 1177 roku. Doża, w paradnej lektyce, poprzedzany puszczalkami i trąbkami, razem I z towarzyszącym mu olśniewającym orszakiem ambasadorów, grandów i senatorów, na pokładzie olbrzymiego statku „Bucintoro” płynął ku San Nicoló del Lido.

Łopoczące flagi i sztandary udekorowane girlandami, połączane wiosła, gondolierzy w czerwonych i błękitnych ubraniach, wspaniale ubrani mężczyźni, kobiety ciągnące za sobą długie welony z aksamitu i jedwabiu, dźwięk bijących dzwonów, szum tłumów —

wszystko to składało się na fascynujące przedstawienie.

Lecz markiz był zadowolony, że nie musi w nim uczestniczyć. Nie interesowały go tego rodzaju parady.

Pałac, którego szukał, był niedaleko. Okazał się wspaniałą rezydencją ze służbą ubraną w kunsztowne uniformy ozdobione złotymi wstęgami. Korytarze i pokoje gościnne dorównywały wystrojem innym pałacom weneckim.

Najbardziej znaną kurtyzaną w Wenecji była przepiękna Zanetta Tamiazzo. Przebywa<sub>T</sub> nie w jej towarzystwie uważano za wyróżnienie. Adorowano ją i oklaskiwano, jakby należała do rodziny królewskiej.

Przyjęła markiza w ogromnym salonie na pierwszym piętrze, gdzie było już pół tuzina innych mężczyzn noszących znamienite nazwiska.

Ujrawszy markiza, podbiegła do niego wyciągając ręce.

— *Mon cher* — powiedziała po francusku, gdyż tak nakazywała moda — słyszałam o pańskim przyjeździe i wręcz nie mogłam się doczekać spotkania z panem!

— Powinienem był odwiedzić panią wcześniej — powiedział, podnosząc do ust jej białe dłonie — lecz zatrzymały mnie sprawy nie cierpiące zwłoki.

— Teraz jest pan tutaj — uśmiechnęła się Zanetta — i tylko to się liczy.



Przedstawiła markiza obecnym w salonie panom, którzy patrząc na niego uważnie, zastanawiali się, czy może on być poważnym rywalem w walce o jej uczucia.

Markiz spotkał Zanettę w Paryżu, skąd zabrał ją później do Londynu. Przez krótki czas była pod jego opieką, póki niespokojna natura nie skłoniła jej do opuszczenia Londynu i powrotu do własnego kraju.

— Jesteś jeszcze bardziej przystojny i elegancki niż zwykle — powiedziała, patrząc na niemal klasyczne rysy twarzy markiza, okolonej ciemnymi, wbrew obowiązującej modzie, nie upudrowanymi włosami związanymi na karku czarną wstążką.

— Pochlebiasz mi — odparł. — To raczej ja, Zanetto, powinienem prawić ci komplementy.

— Anglicy nie rozumieją takich subtelności — wtrącił jeden z obecnych.

— Jest pan w błędzie — odparł markiz. — Nie mówimy komplementów, jeśli nie są one szczerze. Te, które mówimy, płyną prosto z serca i dlatego mogę powiedzieć zupełnie szczerze, Zanetto, że jesteś najpiękniejszą kobietą w We-, necji, a nawet w całej Europie. Zanetta klasnęła w dłonie z zachwyty, lecz dżentelmeni ją otaczający mieli kwaśne miny.

— Musimy porozmawiać — powiedziała — tyle chciałabym usłyszeć. Przecież nie widzieliś-

my się już ponad trzy lata. Czy masz teraz chwilę czasu?

— Kiedy chodzi o ciebie — odpowiedział markiz — mam całą wieczność do dyspozycji. Zanetta roześmiała się i wyciągając rękę na pożegnanie do każdego mężczyzny, oświadczyła:

— Musicie odejść, przyjaciele. Markiz jest człowiekiem, który zajmuje wyjątkowe miejsce w moim sercu. Nie pomylę się, jeśli powiem, że nie zabawi on długo w Wenecji, dlatego też, kiedy mam sposobność ukraść choć trochę jego czasu, zrozumiecie chyba, że nie mogę odkładać tego do jutra.

Spojrzenia, jakimi dżentelmeni obrzucali markiza, pełne były nie skrywanej zazdrości. Kiedy odeszli, Zanetta rozkazała służbie przynieść wino, a wszystkim odwiedzającym oświadczać, że „pani nie ma w domu”. Potem ujęła markiza za rękę i pociągnęła na wygodną sofę.

— Po co przyjechałeś? — zapytała.

— Dla przyjemności — odparł. — I oczywiście po to, aby spotkać się z tobą!

— Przyjmuję to wyjaśnienie, choć jestem pewna, że nie jest ono prawdziwe! Kiedy zawiadomiono mnie o twoim przyjeździe, powiedziano mi też, że nie jesteś sam.

Markiz nie odpowiedział.

— Jesteś żonaty? — chciała wiedzieć.

— Nie! — odparł. — Już kiedyś ci powiedziałem, Zanetto, że nigdy się nie ożenię. Znacz-

nie zabawniej jest nie być skrepowanym i ograniczanym przez małżeńskie pęta.

— W takim razie twoja towarzyszka...?

— Bagatela i kolejny błąd — odparł. — Wszyscy je popełniamy!

— Istotnie — stwierdziła Zanetta i od tej chwili Odette nie zaprzętała już myśli ani jej, ani markiza.

Rozmawiali długo. Kiedy służący przypomniał im o kolacji, przeszli do małego intymnego buduaru, gdzie stał stół nakryty dla dwóch osób, a światło świec rzucało delikatną poświatę na piękne, wymowne oczy Zanetty.

Była ona kobietą inteligentną, umiejącą okazać sympatię i zrozumienie, czemu nie umiało się oprzeć wielu mężczyzn. Nie ulegało też wątpliwości, że potrafiła korzystać z wszelkich znanych kobietom sposobów, aby wydać się mężczyźnie atrakcyjną.

Spędzili przy kolacji dużo czasu, lecz w końcu podnieśli się od stołu, i markiz wziął Zanettę w ramiona. Uśmiechnęła się kusząco, a jej pąsowe wargi czekały niecierpliwie na pocałunek.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział.

— A ty jesteś nieprzyzwoicie przystojny — odpowiedziała.

Nie potrzebowali mówić nic więcej. Usta markiza spoczęły na jej wargach. Twarde i namiętne, spotkały się z gorącym przyjęciem i ma-

rkiz wiedział, że Zanetta, jak żadna inna kobieta, wciąż potrafiła wzbudzać jego  
namiętność.

Przypomniawszy sobie delikatne, niewinne usta Cateriny. — Mógłbym przysiąc, pomyślał, że  
jestem pierwszym mężczyzną, który ją pocałował.

Wkrótce uwodzicielska moc ramion pięknej Zanetty oplecionych wokół jego szyi, zawład-  
nęła obojgiem.

## **Rozdział 2**

**D**zień dobry, Caterino. Podejdź do mnie.

Caterina dygnęła przed swoim dziadkiem, przeszła przez salon wyłożony cennym dywanem i zbliżyła się do małego stolika przy oknie, gdzie jadł śniadanie.

Doża, Ludovico Manin, mimo wieku nadal wyglądał wspaniale, a uśmiech, jakim obdarzył swą wnuczkę, przypominał, że w młodości był człowiekiem o nieodpartym uroku.

Pomimo ogromnego znaczenia swego stanowiska — jako Lord Republiki był monarchą — zachował wrażliwość na kobiece wdzięki. Z przyjemnością patrzył na swą wnuczkę.

Zauważył, że bladozielona suknia doskonale harmonizuje z płomiennym złotem jej typowo weneckich włosów. Do całości postaci nie pasowały tylko błękitne oczy, które nie pozwalały jej krewnym zapomnieć o płynącej w niej angielskiej krwi.

— Mam ci coś do powiedzenia, Caterino — rzekł doża.

Oczekiwała na dalsze słowa, lecz przerwano im. Do pokoju wszedł Francesco Manin. Jak zwykle zwróciła uwagę na jego niezwykle podobieństwo do jej ojca. Nigdy nie mogła patrzeć na swego najmłodszego wuja bez nagłego skurczu serca.

— Dzień dobry, papo, dzień dobry, Caterino — powiedział Francesco. — Wspaniały dzień na karnawał, chociaż o tej porze roku każdy dzień jest wspaniały. — Złożył lekki pocałunek iia policzku Cateriny i usiadł przy stole obok swego ojca. — Czy to prawda, papo, że zwołałeś posiedzenie Rady na dzisiejszy poranek?

— Istotnie — odparł doża — i wszyscy są wyjątkowo poirytowani, że będą musieli zrezygnować z uciech karnawału, aby wysłuchiwać pouczeń markiza Melforda, które nawet dla mnie są nader nudne.

— On miałby was pouczać?!—wykrzyknął Francesco. — Na jakiej podstawie?

— Być może „pouczać” to zbyt mocne słowo — odparł doża z uśmiechem. — On raczej ostrzega i — tak mógłbym to chyba nazwać — błaga nas.

— O co? — zaciekawiał się Francesco.

— Najwidoczniej brytyjski premier, pan Pitt, jest w posiadaniu tajnych informacji o tym,

że Francja może wypowiedzieć wojnę Austrii. Obawia się więc, że gdyby to się stało, nasza niezależność mogłaby zostać zagrożona. Osobiście sędzę, że ten pomysł jest dość niedorzeczny!

— Oczywiście — zgodził się Francesco. — Co o tym myśli Signoria? — Miał na myśli Radę Dziesięciu, Consiglio dei Dieci, prawdopodobnie najważniejszą część rządu.

— Zgadzą się ze mną, że pan Pitt niepotrzebnie niepokoi się sytuacją we Francji. Mogła się tam zdarzyć rewolucja, lecz przecież Francuzi nie rozpoczną wojny.

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknął Francesco. — A poza tym nawet gdyby doszło do takiej katastrofy, nasza niezależność mogłaby być korzystna dla obu stron.

— Ten właśnie argument przedstawiłem markizowi — odparł doża.

— Mogłeś jeszcze dodać, że nie istnieje taka możliwość, abyśmy walczyli po czyjejkolwiek stronie — zauważył Francesco. - Wstał od stołu i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. — To jest upokarzające, papo — dodał. — Kiedyś byliśmy wielką potęgą. Władaliśmy morzem i sama nazwa Wenecji wywoływała ducha zwycięstwa!

— To było w piętnastym wieku — odparł doża. — Lecz w 1540 roku straciliśmy czternaście naszych wysp w Archipelagu Greckim. Trzydzieści jeden lat później sułtan zabrał nam Cypr,

a w 1645 roku Candię. Nie pozostało nam już nic z wyjątkiem wybrzeży Istrii i Dalmacji.

— Przerwał na chwilę, a potem dodał gorzko: — Dziesięć lat temu mój poprzednik powiedział Wielkiej Radzie: „Nie mamy ani sił lądowych, ani morskich, ani sprzymierzeńców”.

— Nie ma sensu żałować przeszłości — rzekł szorstko Francesco. — Lecz jedno jest pewne i możesz to powiedzieć markizowi. Nie jesteśmy w stanie walczyć i nie mamy takiego zamiaru! A teraz pomówmy raczej o rzeczach przyjemniejszych. — Znow usiadł przy stole i sięgnął po ogromną brzoskwinę, leżącą wśród innych owoców na złotej paterze. — Jeszcze jedno — powiedział z uśmiechem, obierając owoc złotym nożem wysadzonym klejnotami — wątpię, czy dzisiejszego ranka nasz dostojny markiz wykaże się równie potężną siłą przekonywania.

— Dlaczego? — zapytał doża.

— Gdyż tę noc spędził z Zanettą Tamiazzo.

— Ma dobry gust — zauważył doża. — To bardzo piękna kobieta.

— Najwidoczniej są starymi przyjaciółmi — mówił dalej Francesco. — Byłem tam, kiedy przybył markiz. Zanetta wyprosiła mnie i innych panów, jakbyśmy byli lokajami, którzy nie są jej więcej potrzebni! — Jeśli chodzi o kobiety, markiz najwyraźniej jest Casanovą — ciągnął Francesco. — Chyba już ci mówiłem,



papo, że przywiózł ze sobą kochankę. Ma na imię Odette. Ambasador austriacki nie odstępował jej przez cały wieczór.

— Gdzie ich widziałeś? — spytał doża.

— Na przyjęciu w Casa Doffino. Było bardzo zabawnie, a kobiety były oszałamiające. Doża wydawał się tylko częściowo zainteresowany plotkami syna i Francesco, zjadłszy część swej brzoskwini, wstał od stołu.

— Jestem umówiony, ojczy, dlatego zostawiam cię z Cateriną. Jaka szkoda, że dziewczyna nie może korzystać z wszystkich uroków karnawału. Ale w przyszłym roku będzie już mężatką i wszystko się zmieni.

— Właśnie o tym chciałem z nią porozmawiać — odparł doża.

— W takim razie odchodzę — Francesco uśmiechnął się i wyszedł z salonu.

Caterina spojrzała pytająco na dziadka.

— Mam dla ciebie dobre wieści, dziecko — rzekł. — Naprawdę bardzo dobre.

— Jakie, dziadku? — spytała lękliwie.

— Zaaranżowałem twoje małżeństwo — oświadczył doża.

— Z kim...? — zdołała wykrztusić po chwili milczenia.

— Z markizem Soranzo — odparł doża.

— Chyba nie masz na myśli... tego starego człowieka... który jadł u nas kolację... trzy dni temu! — wykrzyknęła Caterina.

— Zdaje się, że muszę ci wszystko dokładnie objaśnić, Caterino — powiedział doża powoli. — Widzisz, znalezienie dla ciebie męża nie było łatwym zadaniem.

— Rozumiem... — powiedziała cicho.

— Kiedy twój ojciec opuścił rodzinę, aby poślubić twą matkę, utracił należną mu pozycję również dla swoich dzieci.

— Papa wyjaśnił mi to wiele lat temu — odparła Caterina. — W Anglii jest oczywiście inaczej.

— Zupełnie inaczej — rzekł doża niemal niegrzecznie. — W Anglii par nic nie traci żeniąc się z chłopką, lecz w Najjaśniejszej Republice patrycjusz, który żeni się poniżej swojej klasy, pozbawia nie tylko dzieci szlachectwa, lecz także siebie miejsca w Wielkiej Radzie.

— Wiem o tym.

— Twoi rodzice nie żyją — ciągnął doża. — Jesteś moją wnuczką i przybyłaś do Wenecji w czasie, kiedy piastuję najwyższy urząd państwowy. — Przerwał, jak gdyby spodziewał się, że Caterina coś powie, lecz ona milczała nie podnosząc wzroku. — Mimo to bardzo trudno było mi znaleźć kogoś, kto by chciał ciebie. Młodzi arystokraci, których nazwiska widnieją w Złotej Księdze, wiedzą dobrze, ile są warci. Wybierają sobie żonę, gdy dziewczyna jest jeszcze w klasztornej szkole,

pochodzącą jak oni z patrycjuszowskiej rodziny i wnoszącą im wielki posag.

— Może najlepiej byłoby... gdybym w ogóle nie wychodziła za mąż — powiedziała Caterina cicho.

— Rozwazałem i taką możliwość — odparł doża. — Na szczęście jesteś bardzo ładna, a markiz — patrycjusz o najszlachetniejszej krwi i członek jednej z najstarszych rodzin w Wenecji — poprosił mnie o twoją rękę.

— On jest... stary... bardzo stary — powiedziała Caterina przerażonym głosem.

— Przyznaję, że markiz nie jest już w pierwszym rozkwicie młodości — odparł doża — lecz zapamiętaj słowa Angielki, lady Mary Wortly Montagu: „W tym kraju nie ma starych ludzi, ani jeśli chodzi o strój, ani o galanterię!” — Doża uśmiechnął się, jednak Caterina nie odpowiedziała mu uśmiechem. — Markiz był żonaty dwukrotnie, lecz żadna z jego żon nie dała mu syna, który mógłby odziedziczyć tytuł, majątek i wielkie posiadłości poza Wenecją. Masz wiele szczęścia, Caterino, bo markiz gotów jest zapomnieć o mezaliansie, jaki popełnił twój ojciec, oraz o tym, że twoja matka pochodziła z ludu.

— Nie mogę... wyjść za niego, dziadku — odparła Caterina.

Powiedziała to prawie szeptem, lecz doża usłyszał ją.

— Już ci wyjaśniłem rzekł surowym głosem — ile masz szczęścia. Poślubisz markiza i będziesz wdzięczna, że dzięki mojej pozycji zaaranżowałem tak korzystny związek. Przyjęcie zaręczynowe odbędzie się dziś wieczór — mówiąc to, podniósł się z krzesła. — Dziadku... proszę, wysłuchaj mnie... proszę — błagała Caterina.

Zdawało się, że doża jej nie słyszy. Wyszedł z salonu z godnością przynależną jego stanowisku, a Caterina została sama wpatrując się w drzwi, które zamknął za nim lokaj. Potem w geście rozpaczy ukryła twarz w dłoniach.

Tymczasem doża podążał do salonu, w którym oczekiwała na niego świta. Ubrany był w tunikę z godłem lśniącem złotem i srebrem oraz szpiczastą koronę — drogocenny królewski klejnot.

Podczas karnawału i uroczystości państwowych przed dożą niesiono osiem barwnych sztandarów z herbami Wenecji, poprzedzali go też służący z zapalonymi świecami i trębacze grający na srebrnych instrumentach.

Teraz zasiadł w fotelu wybitym złotą materią, nad jego głową rozpostarto baldachim należny głowie państwa, a oficerowie we wspaniałych uniformach nieśli ukryty w pochwie

miecz. Procesja posuwała się szerokimi korytarzami pałacu do Sala del Maggior Conciglio.

Przez jakiś czas Caterina siedziała w pokoju śniadaniowym pogrążona w rozpacz. Potem udała się na poszukiwania Ancilli, żony wuja Francesca, którą w rodzinie lubiała najbardziej.

Ancilla Manin była bardzo wesoła i atrakcyjna. O wiele młodsza od swego męża, miała więcej wspólnego z Cateriną niż z którąkolwiek z jej ciotek.

Zwiewna i elegancka, jak większość weneckich dam, miała ostre rysy twarzy i jasną cerę.

W przeciwieństwie do swoich francuskich sióstr, Ancilla bardzo dbała o higienę osobistą.

Jak wszyscy weneccjanie kochała kąpiele pachnące piżmem, mirrą i miętą.

Właśnie skończyła pić czekoladę, kiedy jedna z pokojówek zaanonsowała Caterinę.

Wyciągnęła łaskawie w jej kierunku upierścienioną rękę.

— Zjawiasz się bardzo wcześnie, Caterino, lecz miło mi cię widzieć.

— Chciałam porozmawiać z tobą, ciociu Ancillo.

Mówiąc to, Caterina zerknęła w kierunku trzech pokojówek, które sprzątały pokój, ustawiły niezliczone kosmetyki na toalecie, posłuszne nieustającym poleceniom swej pani.

— Czy to jakiś sekret? — spytała Ancilla.

— Tak — odparła Caterina. — Proszę, poświęć mi trochę czasu.

— Ależ oczywiście, drogie dziecko — rzekła pogodnie Ancilla i odesłała służące. — Nigdzie się nie spieszę, a jestem nieco utrudzona,, gdyż wróciłam do domu niemal przed świtem.

— Co robiłaś tak długo? — spytała Caterina.

Delikatny uśmiech zagościł na czerwonych wargach jej ciotki.

— Ja również mam swoje tajemnice, Caterino — odpowiedziała. — Ostatniej nocy laguna była ogromnie romantyczna.

Caterina łatwo w to uwierzyła. Wiedziała, że wiele weneckich dam — zmęczonych balami, koncertami, przedstawieniami, przyjęciami i innymi wesołościami karnawału — pływało nocami w gondolach. Ukryte w małych zasłoniętych kabinach... któż wie, co mogły robić, gdy gondola wypływała daleko na lagunę.

— Co chcesz mi powiedzieć? — spytała Ancilla. — Czyżbyś była zakochana?

— Nie, nic podobnego — odparła szybko Caterina — lecz dziadek właśnie mi oświadczył, że mam poślubić markiza Soranzo.

— A więc papa dopiął swego! — wykrzyknęła Ancilla klasnąwszy w dłonie. — To wspaniale, to naprawdę cudownie, Caterino! Nie

sądziłam, że to możliwe, ale stało się, a ty masz naprawdę wiele szczęścia!

— Ależ rozmawiałam z nim zaledwie raz — odparła Caterina. — I on jest... stary.

Ancilla wzruszyła ramionami.

— Cóż to ma za znaczenie?

— Ja... ja go nie kocham. Jak mogłabym kochać kogoś o tyle starszego od siebie?

— Kochać męża? — Ancilla uniosła swe śliczne ręce w udanym przerażeniu. — Jak możesz być tak drobnomieszczańska, aby wymyślić coś podobnego? Moje drogie dziecko, widzę, że muszę ci wyjaśnić, iż małżeństwo w Wenecji to tylko formalność. Jest to instytucja dla mężczyzny, który chce, aby nazwisko i majątność przeszły na jego potomstwo.

— Lecz moi rodzice kochali się — wyszeptała Caterina.

— I z tego, co wiem, twój ojciec straszliwie powikłał sobie życie! — odparowała Ancilla.

— Nigdy go nie poznałam, lecz Francesco mi opowiadał, jak wszyscy byli zaszokowani, kiedy poślubił twoją matkę i stracił w ten sposób rodzinę i całe dziedzictwo. — Spojrzała na Caterinę. — Nie rozmawiajmy o tym teraz — ciągnęła — wszystko zostało już zapomniane. Musisz być bardzo szczęśliwa, że możesz poślubić kogoś tak ważnego! I oczywiście, kiedy już będziesz mężatką, wybierzemy ci *cicis-beo*. — Caterina wyglądała na zaskoczoną. —

Musisz już wiedzieć, choć jesteś tu tak krótko, że w Wenecji każda dama, a właściwie każda kobieta, ma swego *cavaliere servente* albo *cicisbeo*. Wiesz chyba, że na przykład moim jest Paolo?

— Zastanawiałam się, dlaczego zawsze jest z tobą — powiedziała zakłopotana Caterina.

— Nie ma znaczenia, czy ktoś jest damą jak ja, czy żoną bogatego mieszczanina. Żadna dama nie może obejść się bez *cicisbeo*.

— A wuj Francesco nie ma nic przeciw temu?

— Oczywiście, że nie! Francesco za szczyt wulgarności uważa towarzyszenie mi, prawienie komplementów, asystowanie na placu, czy szeptanie do ucha słodkich słówek.

— Ancilla zaśmiała się lekko. — Francesco szaleje za panią du Caget. Choć wątpię, aby jego przywiązanie potrwało długo.

— A signor Paolo... kochasz go? — spytała Caterina.

— Ależ, Caterino — zaśmiała się afektownie Ancilla — nie wolno ci zadawać takich kłopotliwych pytań. Paolo jest moim drugim ja, nie ma nic, czego by dla mnie nie zrobił — począwszy od zawiązania wstążki, zasznurowania gorsetu, czy nawet założenia mi podwiązki. — Westchnęła z przyjemnością, a potem mówiła dalej: — Lecz on jest *cavaliere*, czyli dżentelmenem, i żaden mąż, nawet Fran-



cesco, nie pozwoliłby sobie na niemądrą zazdrość o *cicisbeo*.

— Kiedy będę mężatką... czy powinnam poszukać kogoś, kto... okazywałby mi takie względy? — zapytała Caterina.

— Będziesz mogła wybierać spośród wielu mężczyzn — odparła Ancilla — i zapewniam cię, że kiedy już będziesz żoną markiza, okaże się, że życie jest bardzo zajmujące i bardzo zabawne! — Wykonała gwałtowny gest rękoma. — On jest bardzo bogaty, Caterino, może cię obdarować najwspanialszymi klejnotami, najcudowniejszymi sukniami! Pozwoli ci robić, co tylko będziesz chciała. Najgłupszy jest stary głupiec — nigdy o tym nie zapominaj. — Czy twoje przyjęcie zaręczynowe odbędzie się dziś wieczorem? — zapytała.

— Tak — odparła Caterina krótko.

— W takim razie musimy znaleźć dla ciebie nową śliczną suknię. Zdajesz sobie sprawę, że kiedy odbywają się zaręczyny córki arystokraty, doża zakłada jej wspaniałą perłową naszyjnik, który narzeczona musi nosić przez rok po ślubie. — Naszyjnik jest darem jej rodziców, a w twoim przypadku o perły postara się twój dziadek. — Caterina wyszeptała coś, co miało być słowami wdzięczności. — Twój narzeczony — ciągnęła Ancilla — da ci pierścień zwany *ricordino*, no i jest jeszcze Korona Narzeczonej.

— Co to takiego?

— Nie zakryjesz twarzy welonem aż do ceremonii zaślubin, lecz dzisiejszego wieczoru będziesz nosić ogromny diadem z diamentów i pereł ułożonych w kształt wieńców kwiatowych. — Oczy Ancilli błyszczą zazdrośnie. — Tak bym chciała go nosić! — wykrzyknęła. — Diadem jest częścią skarbu dożów. Diamenty, z których jest zrobiony, są wspaniałe, a perły mają wielkość gołębih jaj. — Powiedziawszy to, Ancilla zadzwoniła na służącą. Pokojówka zjawiała się natychmiast.

— Potrzebuję krawcowej, fryzjerki, modystki, rękawicznika i sprzedawcy wachlarzy. Powiedz im, że mają się tu zjawić natychmiast. — Pokojówka dygnęła i pospieszyła wykonać polecenia swej pani. — Wydamy dużo pieniędzy, mała Caterino — powiedziała radośnie Ancilla — a kiedy przybędzie Paolo, co powinno nastąpić w każdej chwili, będzie nam doradzał. Paolo ma najdoskonalszy gust, a podczas zaręczynowego przyjęcia musisz olśnić wszystkich urodą — i oczywiście klejnotami.

Było jasne, że signor Paolo, *cicisbeo* ciotki, niczego innego nie pragnął, jak tylko służyć radą. Caterina doszła do wniosku, że go nie lubi. Było w nim coś niewieściego. Jak mógł prawdziwy mężczyzna poświęcać tyle uwagi wyborowi najlepszego miejsca na przyklejenie muszki na damskim policzku, lub prawie godzinę dobierać malowane i zdobione wachlarze do jej

wyprawy? Jednocześnie signor Paolo był gotów zaspokoić najmniejszy kaprys Ancilli. Wykorzystywał każdą sposobność, aby prawić jej 'komplementy lub ucałować białą dłoń. Złapała się na myśleniu o markizie rozprawiającym z Collegio, przekazującym opinie pana Pitta co do równowagi sił w Europie, podczas gdy oni, jak to przewidział Francesco, pozostają głusi na jego ostrzeżenia i błagania.

Przyszło jej do głowy, że markiz już dziś mógłby dojść do wniosku, iż jego misja zakończyła się niepowodzeniem, a wtedy gotów powrócić do Londynu.

Na myśl o Anglii, w której spędziła tak szczęśliwie niemal osiemnaście lat swego życia, Caterina zapomniała o rozmowach i zamieszaniu wokół niej, a nawet o Koronie Narzeczonej, którą przyniesiono do jej sypialni.

Była ona istotnie wspaniałym klejnotem. W promieniach słońca przedostających się przez okna pałacu, diamenty błyszczały niemal oślepiająco, a perły wydawały się tak przezrocyste, jak lekka mgiełka unosząca się nad laguną. Lecz patrząc na nią, Caterina widziała tylko starą, pomarszczoną twarz markiza Soranzo.

Był on człowiekiem niewysokim, a jej wydawał się jeszcze niższy, kiedy porównywała go z wysokimi Anglikami, do których przywykła. Był dla niej niezwykle uprzejmy podczas przyjęcia wydanego przez jej dziadka. Sądziła, że ze

względu na wiek opowie jej wiele interesujących rzeczy o historii Wenecji. Zamiast tego usłyszała jedynie najnowsze plotki o ludziach, których nie znała, noszących nic nie mówiące jej nazwiska. Po godzinie spędzonej w jego towarzystwie, Caterina stwierdziła, że go nie lubi. A teraz miała zostać jego żoną!

— To nie może być prawda, powiedziała sobie. Dopiero od trzech tygodni mieszkała w Wenecji, a już dobrze wiedziała, że małżeństwo jest dla młodej dziewczyny absolutną koniecznością. Obowiązkiem każdej matki i każdego ojca było znalezienie odpowiedniej „partii” dla ich dzieci, a zwłaszcza dla córek.

Nie kłopotano się edukacją dziewcząt, które opuszczały przyklasztorne szkoły tylko po to, aby wyjść za mąż. Niezameżna kobieta była kłopotliwym brzemieniem, dodatkową osobą do wyżywienia, żywym świadectwem niepowodzenia swych rodziców.

— Może już dziś wieczór będziesz mogła wybrać swego *cicisbeo* — mówiła Ancilla. — W tej chwili Wenecja wie o twoich zaręczynach i wszyscy najodpowiedniejsi i najbardziej interesujący mężczyźni przyjdą, aby cię obejrzeć.

— A kiedy spojrzą raz, będą już spoglądać ciągle! — powiedział Paolo.

— Co do tego nie ma wątpliwości — zgodziła się Ancilla. — Twoja suknia jest wręcz sensacyjna, Caterino, a patrząc na ciebie, nie

mogę odżałować, że jako prawdziwa weneckanka, nie urodziłam się z włosami złotymi, lecz z czarnymi.

— Czarnymi jak skrzydło kruka! — wykrzyknął Paolo — i równie pięknymi! Caterina spodziewała się, że jej ciotka wykpi ową dramatyczną manierę, z jaką przemawiał, lecz Ancilla zatrzepotała tylko rzęsami i przybrała onieśmielony wyraz twarzy.

— Jak mogłabym zachowywać się tak dzień po dniu? — pytała Caterina samą siebie. W każdym razie znienawidziłabym człowieka oczekującego ode mnie reakcji na taki frazes. Nie bez trudności wymówiła się od dalszych przymiarek i wymknęła z salonu w poszukiwaniu jakiegoś ustronnego miejsca. Instynktownie skierowała się do biblioteki. Urządzona z przepychem, nie była tak duża jak Libreria Vecchia, robiła jednak imponujące wrażenie. Caterina zaszła tu już wcześniej i wiedziała, że nigdy nie zabraknie jej książek do czytania. Szła wzdłuż jednej ze ścian, przypatrując się doskonale oprawionym tomom. — Tyle wiedzy! Tyle historii — myślała — a dla Wenecjan to nic nie znaczy! Oni chcą jedynie miłości i śmiechu. — Westchnęła cicho. — Nic dziwnego, że utracili swą wielkość, że nie są już morską potęgą! Od rządzenia światem ważniejsze jest dla nich, gdzie kobieta powinna przykleić muszkę! Poczowała pogardę.

— Zaslugują na klęskę! — powiedziała głośno.

Potem przyłapała się na myśleniu o żonkilach układających się w złoty dywan wokół wiejskiego domu markiza lub błyszczących jak złote trąbki pod krzewami w St. James Park. Kaczki sprowadzone tam przez Karola II pływają po srebrnej wodzie, a w oddali widać iglice i dachy Whitehall! Ponad tym wszystkim rozciąga się poczucie bezpieczeństwa, tak bardzo angielskie i tak mało weneckie.

Caterina załkała cicho.

— Och, papo, dlaczego umarłeś i zostawiłeś mnie samą? — wyszeptała. — Jak mam żyć tutaj do końca moich dni, u boku starca, który chce ode mnie jedynie syna, zabawiana przez *cicisbeo* prawiącego mi niesmaczne i głupie komplementy?

Sięgnęła po jeden z tomów, jak gdyby oczekując od niego odpowiedzi. Książka napisana była po francusku. Jedno zdanie przykuło jej uwagę. Przetłumaczyła je bez wysiłku, bo zdawało się odpowiadać na jej pytanie: „Tylko tchórz przyjąłby to, co nie do przyjęcia, jakby było czymś nieuniknionym!”

Przez długi czas Caterina nie odrywała wzroku od tych słów. Potem zamknęła książkę i odłożyła ją z powrotem na półkę.

— Dziękuję — powiedziała miękko i wyszła z biblioteki.

### **Rozdział 3**

Markiz obudził się i przeciągnął w wygodnym łożu, wybranym przez siebie z największą starannością. Choć nie lubił ostentacji na statkach, chciał, aby jacht, na który wydał tyle pieniędzy i któremu poświęcił wiele czasu, był wygodny pod każdym względem. Spał tylko kilka godzin, gdyż do późnej nocy uprawiał hazard w *casini*, które —jak powiedział pewien sławny Wenecjanin — „były świątyniami miłości i luksusu”. — Dokładnie tak samo — wyjaśnił Wene-cjanin markizowi —jak Francuz ma w Paryżu swój *petite maison*. Co więcej, tak się rozpuściliśmy w Wenecji, że powstały nawet małe, ukryte *casini* dla dam!

Pierwotnie państwo kontrolowało hazard, a wielkie Ridolto istniało do 1774 roku, ciesząc się nie słabnącym powodzeniem. Potem Sig-noria musiała przyjąć do wiadomości fakt, że

senatorzy sprzedawali meble, obrazy i dzida sztuki, a często nawet i pałace, aby uregulować długi powstałe z hazardu. Trzeba więc było go zlikwidować, dochód, jaki państwo z niego czerpało, przepadł, co było wielką stratą dla weneckich finansów. Pewien pisarz tak przedstawił tę sytuację: „Wszyscy Wenecjanie są ofiarami hipochondrii; Żydzi obnoszą miny kwaśne jak cytryny, sklepy opustoszałe, wytwórcy masek głodują, a dżentelmeni, przyzwyczajeni do codziennego, dziesięciogodzinnego trzymania kart, stwierdzają, że usychają im ręce. Najwidoczniej żadne państwo nie może istnieć bez występków”.

Jednakże nieszczęście szybko się skończyło. W kawiarniach znów zaczęto skrycie grać w karty, to samo działo się na tyłach salonów fryzjerskich, w prywatnych domach. Wreszcie powstały *casini*.

Markiz, który był doświadczonym hazardzistą, wygrał poprzedniego wieczoru znaczną kwotę. Leżąc w łóżu stwierdził, że było to przyjemne zakończenie wizyty. Jego misja była klęską, jeśli chodzi o rozmowy z Radą, po których zresztą nie spodziewał się sukcesu. Przynajmniej zrobił, co mógł, kierując się wskazówkami pana Pitta. Cokolwiek stanie się w przyszłości, Wenecjanie nie będą mogli narzekać, że nie zostali ostrzeżeni.



Sięgnął do dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i do kabiny wszedł Hedley, lokaj, którego miał od kilku lat.

— Dzień dobry, milordzie — powiedział odsuwając zasłony z bulajów.

— Powiedz kapitanowi — rzekł markiz — że życzę sobie wypłynąć natychmiast.

— Tak, milordzie — odparł Hedley — ale madame jeszcze nie zjawiała się na pokładzie. Markiz usiadł na łóżku.

— Jesteś pewien? — zapytał. — Kiedy wróciłem dziś około czwartej rano, nocny strażnik powiedział mi, że madame przyszła przede mną.

— Najpewniej mylił się, milordzie — odrzekł służący. — A może madame jeszcze raz zeszła na brzeg? Zdaje się, że w Wenecji nikt nie kładzie się przed śniadaniem.

— Istotnie, mogło tak być — zgodził się markiz.

Mówił spokojnie, lecz w rzeczywistości był dość zirytowany. To takie podobne do Odette, pomyślał, że nie ma jej, kiedy jest potrzebna.

Planując wystrój jachtu, markiz kazał zainstalować łazienkę, co było sporą sensacją. Wodę trzeba było pompować ręcznie, ale z pomocą służącego mógł brać kąpiel lub prysznic każdego upalnego dnia albo wieczoru.

Czystość nie była największą cnotą wielu dystyngowanych >dSL®5toenów z otoczenia

księcia Walii. Markiz zawsze był pod tym względem wyjątkowo wymagający i postanowił, że jak tylko wypłyną w morze, daleko od ścieków pojawiających się na lagunie, będzie pływał w morzu. Był świadom tego, że woda w Wenecji może być nader niebezpieczna dla zdrowia. Kanalizacja była bardzo prymitywna i wszystko, czego chciano się pozbyć, wyrzucano przez okna do kanałów, którymi dryfowało do laguny, a potem do morza. Po kąpieli markiz ubrał się z właściwą sobie starannością. Krawat był precyzyjnie dobrany, surdut leżał bez zmarszczki, a buty lśniły oszałamiająco dzięki mistrzostwu Hedleya.

Śniadanie podano w salonie umeblowanym z dużym smakiem kilkoma antycznymi meblami i obrazami o tematach marynistycznych, przeniesionymi z wiejskiej posiadłości markiza.

Choć było dość wcześnie, wielokrotnie spoglądał na zegarek, zastanawiając się, co mogło przydarzyć się Odette. Wreszcie usłyszał jej głos na pokładzie, drzwi salonu otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Odette w wieczorowej sukni.

— Bardzo się spóźniłaś, Odette— rzekł markiz, wstając powoli. — A może raczej powinienem powiedzieć, że zjawiasz się bardzo wcześnie!

— Co się dzieje na pokładzie? — zapytała ostro Odette. — Wygląda, jakbyś przygotowywał się do wyjścia w morze.

— Bo tak właśnie jest! Odpływamy natychmiast, skoro już wróciłaś — odparł markiz. Krzyknęła, aż jej głos odbił się echem od ścian salonu.

— Co to ma znaczyć! Wypływamy?

— Natychmiast! — potwierdził markiz stanowczo.

Przyglądał się jej bez zainteresowania, zastanawiając się, dlaczego uznał ją kiedyś za atrakcyjną. Jednak Odette była na swój sposób wyjątkowa. W połowie Francuzka, miała ów pikantny, intrygujący wyraz twarzy, któremu nie mogło się oprzeć wielu mężczyzn. Uniosła lekko kąciki pąsowych warg i zmrużyła oczy. Nie była piękna, lecz miała zmysłowy wdzięk, którego nie można było nie zauważyć. Tańczyła w Corps de Ballet w operze i miała wielkie powodzenie wśród złotej młodzieży z ulicy St. James.

— Naprawdę masz zamiar wracać do Anglii i znów znosić tę śmiertelną nudę i nieprzyjemną podróż po tak krótkim pobycie w najbardziej fascynującym mieście na świecie?! — wykrzyknęła Odette niemal namiętnie.

— Wenecja nie jest w stanie zająć mnie na długo — odparł markiz. — Widziałas karnawał, Odette. Zapewniam cię, że kolejny tydzień okazałby się nader wyczerpujący.

— Nie wyjadę! Słyszysz? — piekliła się Odette. — Nie wyjadę! Dobrze się tu bawię,

odniosłam sukces! Nie wyjadę, póki nie będę do tego gotowa!

— Jeśli pragniesz tu pozostać, możesz to zrobić, lecz ja zamierzam wrócić do Anglii — powiedział wolno.

— Wobec tego nie popłynę z tobą! — odparła gniewnie. — Zamieszkałam w hotelu, choć jest bardzo prawdopodobne, że nie pozostanę tam długo!

— Wierzę ci — powiedział markiz. — Oczywiście pokryję wszelkie koszty, póki nie znajdziesz kogoś, kto zaopiekuje się tobą.

— Nie wyjadę! Słyszysz?! — krzyknęła Odette. — Zapewniam cię, sądząc po komplementach, jakie wczoraj słyszałam, i gorących zapewnieniach o oddaniu wielu mężczyzn, że wkrótce znajdę kogoś bardziej hojnego i znacznie przyjemniejszego od ciebie.

— Odwróciła się i pośpiesznie wyszła z salonu.

Markiz, uśmiechając się cynicznie, poszedł do swojej kabiny, gdzie stało biurko z przemyślną skrytką, w której trzymał pieniądze i kosztowności. Zamknął drzwi i uruchomił zatrzask ukryty w rzeźbionej boazerii pokrywającej ściany. Złotym kluczykiem otworzył skonstruowaną specjalnie dla niego skrytkę. Wyjął z niej większą część banknotów i trochę złotych suwerenów. Potem zamknął drzwiczki i zakrył je kasetonem boazerii. Usiadł przy biurku, aby

wypisać czek. Był hojny z natury, a dodatkowo mógł sobie na to pozwolić. Uznał też, że to z jego winy towarzystwo Odette okazało się rozczarowaniem.

— Zapamiętam na przyszłość — powiedział do siebie z derpkim uśmiechem na twarzy — że nie powinno się przenosić kobiety z jednego środowiska do drugiego.

Przypomniawszy sobie Caterinę i żal w jej głosie, gdy mówiła o tęsknocie za Londynem i o tym, jak nieszczęśliwa jest w Wenecji.

— To tylko dowodzi mego twierdzenia — powiedział głośno.

— Pan mówił, milordzie?

Markiz rozejrzał się zaskoczony, że nie słyszał, kiedy Hedley otworzył drzwi i wszedł do kabiny.

— Nie do ciebie, Hedley — odrzekł z humorem. — Właśnie mówiłem sobie, że wszystkie kobiety są nieznośne, a ich towarzystwo przez krótki czas zupełnie wystarczy.

Służącego nie zaskoczył cynizm jego pana; był do tego przyzwyczajony. Służył u markiza od czasu, gdy uznano, że szesnastolatek ma prawo do osobistego lokaja.

— Są kobiety i kobiety, milordzie — zauważył.

Markiz zaśmiał się.

— Już mi to mówiłeś, Hedley, lecz niestety, zdaje się, że ja zawsze trafiam na ten sam

gatunek. Czy madame Odette naprawdę opuszcza jacht?

— Tak, milordzie.

— Więc nie próbuj jej zatrzymywać — rzekł markiz. — Sądzę, że w czasie podróży powrotnej będzie nam lepiej bez żadnej spódniczki na pokładzie.

— Jestem tego pewien, milordzie—zgodził się Hedley.

Odwrócił się do drzwi, lecz zanim zdążył wyjść, do kabiny weszła Odette.

— Odchodzę — powiedziała. — Spakowałam wszystko, czego potrzebuję. Resztę tych śmieci z mojej kabiny możesz wyrzucić za burtę lub dać następnej głupiej kobiecie, która przyjmie twoje zaproszenie na rejs po rozświetlonym słońcem morzu! — Odette niemal pluła tymi słowami w markiza. — Pewien grzeczny dżentelmen z pewnością zaopatrzy mnie w nową garderobę, której bardzo potrzebuję.

Odette uważała się za kobietę wzgardzoną. Chciała zranić markiza dyskredytując jego hojność. Lecz w głębi serca wiedziała, że jego szczodrość była nieporównywalna ze szczodrością jej poprzednich opiekunów.

Hedley wyszedł dyskretnie z kabiny.

— Te szorstkie słowa są zbyteczne, Odette — powiedział markiz, nie wstając zza biurka.

— Przyznaję, że nie powinienem cię prosić, abyś była moim gościem. Lecz sądzę, że przez

ostatnie kilka miesięcy w Londynie dobrze się razem bawiliśmy.

Słowa te ułagodziły nieco gniew Odette.

— Przyznaję, że potrafisz być bardzo czarujący, kiedy tego chcesz — odparła — lecz w sercu, Valeriuszu, jesteś piratem. Ograbiasz kobietę ze wszystkiego, a potem wyruszasz na poszukiwanie kolejnej ofiary.

— Sądzę, że jesteś dla mnie zbyt surowa — rzekł markiz z błyskiem w oku.

— Możesz uważać to za zabawne — powiedziała gniewnie Odette — lecz to prawda. Zbyt szybko się nudzisz, aby jakakolwiek kobieta mogła cię przy sobie zatrzymać. Mogę tylko powiedzieć: niech Bóg pomoże twojej żonie, kiedy wreszcie będziesz ją miał!

— Nie kłopotz się tym — odparł markiz. — Zamierzam nigdy się nie żenić.

Odette roześmiała się.

— Cóż za okropny cios dla wszystkich skołatanych serc z *beau monde*, które nie mogą spać obmyślając, jakich by tu użyć sztuczek, aby cię złapać!

— Rozczarują się — odparł krótko markiz. — A teraz, Odette, pozwól, że wyrażę swą wdzięczność za wszystkie szczęśliwe chwile, jakie razem spędziliśmy. Oto dość znaczna suma pieniędzy w gotówce oraz czek, który honorowany jest, jak wiesz dobrze, w najszacowniejszych bankach całej Europy.

Odette upchnęła banknoty i złote suwereny w satynowym woreczku, który nosiła na ramieniu. Potem podniosła do oczu czek i znacznie łagodniejszym, cokolwiek zaskoczonym głosem powiedziała:

— Powinnam ci za to podziękować.

— Nie jeął to potrzebne — odparł markiz. Jeszcze raz spojrzała na czek. Wahąła się.

— Naprawdę zdenerwowało cię, że nie chcę z tobą wrócić? — Najwyraźniej nie była pewna swej decyzji pozostania w Wenecji.

— Nie, Odette— powiedział markiz pośpiesznie, zbyt pośpiesznie, aby wypadło to grzecznie. — Nie próbuję nakłonić cię do zmiany decyzji. Zostań w Wenecji, baw się. Dobrze rozumiem twoje uczucia. To miasto jest fascynujące dla kogoś, kto widzi je po raz pierwszy.

Odette niemal niechętnie włożyła czek do satynowego woreczka.

— Przykro mi, Valeriuszu — rzekła — że tak się to kończy. Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, lecz tylko na stałym lądzie.

Markiz roześmiał się.

— Jedną rzecz lubiłem u ciebie, Odette — twoją szczeróść. Niech mi będzie wolno powtórzyć twój komplement: jesteś zachwycająca, ponętna i bardzo uwodzicielska... na *terra firma*.

Odette wyciągnęła ręce. On podniósł je do ust.



— Czy masz kogoś, kto będzie się tobą opiekował? — zapytał.

Skinęła głową.

— W południe odwiedzi mnie austriacki ambasador. Powiem mu, gdzie się zatrzymam.

— Więc powinnaś złapać kilka godzin snu dla urody — zasugerował markiz. — O tej porze nawet karnawał uspokaja się odrobinę.

— Gondola czeka na mnie przy nabrzeżu — rzekła Odette.

— Pozwól więc, że cię do niej odprowadzę — zaproponował markiz. — Hedley z pewnością zaniósł już tam twoje bagaże.

Wyszedł za Odette na pokład. Jacht zacumowany był przy molo, a przy nim, kołysząc się lekko na fali przyływu, czekała ogromna gondola, ozdobiona emblematami i flagami ambasady austriackiej.

Bez słowa markiz pomógł wsiąść do niej Odette, pocałował jej rękę na pożegnanie i obserwowwał, jak gondola oddala się po lśniącej w promieniach porannego słońca wodzie.

Wczesnym rankiem Wenecja wyglądała zachwycająco. Markiz stał przez chwilę obserwując piękno jej wież i budowli, które przepychem przypominały senne marzenia.

Przeszedł po pomoście z powrotem na jacht. Wiedział, że kapitan czeka tylko na jego rozkaz, aby zwolnić cumy i postawić żagle.

— Wyruszamy natychmiast, kapitanie Brinton — rzekł i nie czekając na nieuniknione „Tak jest, milordzie”, zszedł na dół.

Hedley uprzątał stół po śniadaniu.

— Czy pan skończył, milordzie?—zapytał.

— Niczego w tej chwili nie chcę oprócz podmuchu wiatru na twarzy i poczucia wolności

— odparł markiz wchodząc do kabiny.

Odłożył dokumenty, zamknął szufladę w biurku i wyszedł na pokład. Zawsze lubił patrzeć, jak jego statek wypływa z portu. — Cóż może być piękniejszego i pełniejszego gracji, zapytał sam siebie, niż ruchy „Jastrzębia Morskiego”, kiedy pierwszy powiew wiatru wypełnia jego żagle uderzając w nie z dźwiękiem podobnym do trzasku bicia.

Po jakichś dwóch godzinach markiz zszedł do kabiny z zamiarem uporządkowania dokumentów i spisania swych rozmów z Collegio, póki wspomnienia były świeże, aby pan Pitt dokładnie wiedział, co zostało powiedziane. Usiadł przy biurku, wyciągnął z szuflady kilka grubych kartek papieru do pisania i wziął do ręki jedno z długich, białych gęsich piór, które Hedley regularnie ostrzył.

Morze było spokojne, jacht płynął równo, więc z pisaniem nie było żadnych kłopotów.

Markiz zdążył zapisać dwie kartki, kiedy usłyszał jakiś dźwięk. Był on tak cichy, że dziwne było, iż w ogóle zwrócił jego uwagę, tym

bardziej że zewsząd dobiegały odgłosy uderzeń fal o burty oraz wiatru wypełniającego żagle.

Dźwięk dochodził z ogromnej malowanej szafy z ubraniami stojącej przy jednej ze ścian kabiny.

Szafa była francuska. Na kasetonach widniały prześliczne obrazy egzotycznych ptaków, wyrzeźbione bardzo delikatnie przez rzemieślnika, który zapewne dzięki swym pracom zdobył sławę w poprzednim wieku.

— Czy to możliwe, aby szczur dostał się na pokład? — zastanowił się markiz.

Niebezpieczeństwo to istniało zawsze, ilekroć statek zawijał do portu, a markiz stanowczo wymagał, aby na jego jachcie nie było żadnych gryzoni. Nie uważał, aby były one nieodłączną częścią podróży morskich.

Zaniepokojony, wstał od biurka i otworzył drzwi szafy. Nie było tam nic oprócz jego ubrań wiszących w równym rzędzie. Miał właśnie zamknąć szafę, gdy uderzyło go coś niezwyklego na jej dnie. Otworzył drugą część drzwi i na moment zamarł ze zdumienia. W kącie szafy siedziała kobieta.

— Co tu, u diabła, pani robi? — zapytał markiz szorstko.

— Jestem... pasażerką na gapę... milordzie — odparła.

Wstała bez jego pomocy i wyszła z szafy, a markiz patrzył na nią z niedowierzaniem.

Ubrana była w suknię ze srebrnego brokatu, bardzo piękną i kosztowną, a szyję jej zdobił naszyjnik ze wspaniałych pereł. Miała złotorude włosy, takie, o jakich marzyły wszystkie weneckie damy. Lecz ku jego zaskoczeniu, jej oczy były błękitne jak czyste jasne niebo w letni dzień. Potem spojrzał na to, co trzymała w dłoniach.

Nigdy nie widział tyle bogactwa w jednym przedmiocie. Był to diadem w kształcie wieńca kwiatów, wyglądający jak korona. Każdy kwiat składał się z ogromnych diamentów przeplatanych perłami tak wielkimi, że wydawały się nierealne.

— Kim pani jest i co pani tu robi? — spytał markiz.

— Wybacz mi... panie... — odparła dziewczyna — ale nie mogłam... pozostać w Wenecji. Kiedy to powiedziała, markiz przypomniał sobie nie tylko nieśmiałą miękkość głosu, lecz także rozpoznał jej usta.

— Caterina!

— Tak — odrzekła.

— To szaleństwo przychodzić tu w ten sposób! — wykrzyknął. — Jak można uczynić coś tak karygodnego? Poza tym, rodzina będzie pani szukać. — W tym momencie jacht przechylił się lekko na bok. — Proszę usiąść i powiedzieć mi prawdę — ciągnął markiz szorstko. — Kim pani jest? — Wciąż trzymając w rękach

diadem, Caterina usiadła na krześle stojącym obok biurka. Markiz spostrzegł, że miała również na sobie wyjątkowo cenną broszę, a na jej lewej ręce lśnił pierścień tak wielki, że wydawał się zbyt ciężki dla drobnego palca. Na nadgarstku błyszczała diamentowa bransoleta. — Chcę znać prawdę — powtórzył, kiedy milczenie przeciągało się. — Ukradła pani te wszystkie błyskotki?

Jego głos był twardy, a oczy przenikliwe, kiedy na nią spoglądał.

— Nie... niezupełnie — odparła Caterina. — Ja... dostałam je.

— W prezencie? — spytał markiz.

— Przypuszczam, że... Koronę Narzeczonej... pożyczono mi.

— Narzeczone! — wykrzyknął markiz. — Więc uciekła pani ze swego ślubu?

— Z przyjęcia zaręczynowego — odpowiedziała. — Nie mogłam go poślubić! Nie mogłam... tego zrobić! On jest stary... bardzo stary... i jest w nim coś takiego, co... przeraża mnie.

W jej głosie zabrzmiała dziecięca nuta i podejrzliwy wzrok markiza złagodniał nieco.

— Nie powiedziała mi pani jeszcze, jak się nazywa — rzekł spokojnie.

— Manin — odpowiedziała Caterina. Markiz znieruchomiał.

— Wczoraj doża powiedział mi, że ma w rodzinie ślub. Nie jest pani chyba jego córką?

— Wnuczką.

— Wielki Boże! —okrzyk markiza wyrażał zarówno zdziwienie, jak i przerażenie. — To szaleństwo! — krzyczał. — Chce pani powiedzieć, że naprawdę uciekła z przyjęcia zaręczynowego, które wydał dla pani doża, i ukryła się pani tu, na moim jachcie, razem z klejnotami, które są częścią skarbu dożów?

— Tylko Korona Narzeczonej — powiedziała szybko Caterina. — Miałam ją na głowie i zdjąłabym ją, gdybym... pomyślała o tym.

— A reszta klejnotów? — spytał markiz.

— Dziadek podarował mi perły, lecz pierścień i inne rzeczy pochodzą od... tego starca, którego... miałam poślubić.

— Kto to jest?

— Markiz Soranzo.

— Stara wenecka rodzina — skomentował markiz. — Cóż, Caterino, mam nadzieję, że będzie pani mogła wyjaśnić tę ucieczkę, kiedy powróci do domu, ponieważ mam zamiar natychmiast zawrócić jacht i odwieźć panią z powrotem do Wenecji.

— Nie... nie może pan tego zrobić! Nie mogę... wrócić!

— Obawiam się, że nie ma innego wyjścia — stwierdził markiz stanowczo.

Caterina położyła Koronę Narzeczonej na stoliku.

— Zapłacę za przejazd. Proszę wziąć to... proszę wziąć wszystkie moje klejnoty, ale proszę mnie zabrać ze sobą do Anglii. Nie wrócę, aby... poślubić tego... człowieka. Markiz westchnął.

— Histeryzuje pani, Caterino — powiedział. — Nie mogę i nie wezmę udziału w tej szaleńczej ucieczce od rodziny, nie wezmę za panią odpowiedzialności.

— Nie może pan być tak okrutny, tak nieczuły — zaprotestowała — i tak... zdradziecki, aby odwieźć mnie... z powrotem.

— To nie jest kwestia zdrady — wyjaśnił markiz. — Musi pani zrozumieć, że jej dziadek wie, co będzie najlepsze dla młodej dziewczyny. Jeśli naprawdę boi się pani człowieka, którego ma poślubić, jestem pewien, że dziadek znajdzie kogoś innego.

Caterinie łzy napłynęły do oczu.

— Myli się pan — powiedziała. — Dziadek miał wielkie kłopoty, aby znaleźć dla mnie... kogokolwiek i dlatego wszyscy oczekują, że będę bardzo wdzięczna, iż ten pomarszczony starzec chce... uczynić mnie swą... żoną. — Załkała cicho, a w jej głosie zabrzmiały szarpiące serce tony. — On mnie nie chce... dla mnie samej — dodała. — Tak naprawdę on chce... syna.

— To jest powód, dla którego żeni się większość mężczyzn, Caterino — odparł markiz cierpliwie.

— Ale nie wtedy, kiedy mają sześćdziesiąt lat! — odrzekła. — To jest straszne... odrażające! Kiedy... patrzył na mnie i kiedy... dotykał mnie, wiedziałam, że raczej umrę niż zostanę jego żoną.

Markiz westchnął.

— Przykro mi, Caterino, lecz wiele dziewcząt boi się małżeństwa. To zupełnie naturalne. Jestem pewien, że okaże się, iż pani mąż jest dobry i delikatny, a później będzie pani mogła się bawić jak wszystkie śliczne kobiety w Wenecji.

— Bawić się—powiedziała pogardliwie — z *cicisbeo*, mężczyzną, który nie jest mężczyzną? Mężczyzną, który dni całe spędza na mówieniu banałów i rozważaniu, jakie jest najlepsze miejsce do przyklejenia muszki lub jakiego koloru wstążkę ma wybrać! Jak mogłabym znosić coś równie głupiego.

— To już, jak sędzę, pani sprawa — odrzekł markiz twardo. — A teraz, Caterino, muszę zawrócić jacht i zabrać panią z powrotem do dziadka.

— Nie wrócę! — wykrzyknęła Caterina. — Czy nie potrafi pan zrozumieć, że uciekłam i oni nigdy mi nie wybaczą? Jeśli wrócę, jest mało prawdopodobne, że mnie... przyjmą! A nawet, jeśli mnie przyjmą... nie mogę wyjść za niego... nie mogę. — Zdawało się, że za chwilę jej głos się załamał. Potem spojrzawszy w twardą i nie



ugiętą twarz markiza, zerwała z szyi naszyjnik, zdjęła diamentową bransoletę i pierścień, odpięła od sukni broszę. — Proszę to wziąć, wszystko — powiedziała — i wysadzić mnie w najbliższym porcie. Nie ma znaczenia gdzie... dam sobie radę... znajdę jakąś pracę... zrobię wszystko, byle tylko nie wracać do tego obrzydliwego starego markiza.

Spojrzał z uśmiechem na leżące przed nim, błyszczące klejnoty.

— Naprawdę próbuje mnie pani przekupić, Caterino? — zapytał. — Zapewniam panią, że mnie nie można kupić. — Wracamy, Caterino.

Krzyknęła jak zwierzę złapane w pułapkę. Odwróciła się, przebiegła przez kabinę, otworzyła drzwi i wbiegła na schodki prowadzące na pokład. Przez chwilę markiz zastanawiał się, czy nie zapomniała, że jest na jachcie. Potem pośpieszył za nią na pokład akurat w chwili, gdy ktoś krzyknął: „Człowiek za burta!”

Wszyscy podbiegli do burty, z której skoczyła Caterina. Markiz spojrzał na jej srebrną suknię unoszącą się na falach, na twarz, mokrą i bladą, na usta łapiące oddech, i zdał sobie sprawę, że Caterina nie potrafi pływać.

Zdjął surdut i rzucił się na ratunek. Złapał ją, kiedy po raz trzeci wypłynęła na powierzchnię. Nie kasłała już i nie zachłystywała się wodą — była nieprzytomna.

Trzymając ją jednym ramieniem, podpłynął do burty. Zrzucano drabinę sznurową i wspólnymi siłami wciągnęli ją na pokład.

— Odwróćcie ją twarzą w dół — rozkazał markiz.

Leżała w kałuży wody, złote włosy spływały jej na ramiona, a suknia była przemoczona i ciężka. Markiz ukląkł obok niej. Spostrzegł, że odzyskała przytomność. Wziął ją na ręce i zniósł po schodkach do pustej kabiny, kiedyś zajmowanej przez Odette. Za nim postępował Hedley.

— Brandy! — rzekł markiz ostro, a kiedy Hedley pośpieszył wykonać jego rozkaz, postawił Caterinę na nogi. Podtrzymał ją ramieniem, póki nie przybiegł Hedley ze szklanką brandy w ręce. Wziął ją od Hedleya i przytknął Caterinie do ust. — Proszę wypić to powoli — powiedział. — Bezwolnie zrobiła, co jej kazał. Po pierwszym łyku wstrząsnęła się, jakby ognisty płyn przepalał jej gardło. — Jeszcze trochę! — rozkazał markiz, a ona spróbowała go usłuchać.

— Ja... przepraszam — zdołała w końcu wykrztusić.

— Proszę zdjąć te mokre suknie — nakazał markiz — i to szybko. Potem dostanie pani coś do jedzenia. — Hedley położył na brzegu łóżka kilka ręczników i bez słowa wyszedł z kabiny. — Słyszała pani, co powiedziałem,

Caterino? — spytał markiz. — Ma się pani natychmiast przebrać. Nie chcę, żeby pani zachorowała.

— Dlaczego... nie pozwolił mi pan utonąć? — wyszeptała Caterina. — Nie boję się... umrzeć.

— Na miłość boską, niech pani nie będzie niemądra! — wykrzyknął markiz.

— Jeśli... odeśle mnie pan... z powrotem... zabiję się. — Mówię poważnie...! — powtórzyła.

— Do licha! — wykrzyknął markiz. — Kobiety, wszystkie kobiety, mogą doprowadzić człowieka do szału, a pani nie jest wyjątkiem!

— Czy pozwoli mi pan... zostać ze sobą? — wyszeptała Caterina niemal niedosłyszalnie.

— Porozmawiamy o tym, kiedy się pani przebierze — odparł markiz. — Proszę się pośpieszyć! Jeśli jest coś, czego nie cierpię, to z pewnością trzymanie w ramionach mokrej kobiety. — Wciąż patrzyła na niego, lecz tym razem dostrzegł isierkę nadziei w jej przepełnionych bólem oczach. Było w niej coś niesłychanie wzruszającego. — Nie zawrócę jachtu — rzekł markiz — póki jeszcze o tym nie porozmawiamy. Czy właśnie to chciała pani usłyszeć?

Twarz Cateriny pojaśniała.

— Dziękuję... dziękuję — wyszeptała. Markiz uwolnił ją z ramion.

— Niczego nie obiecuję — rzekł — ale porozmawiamy, zanim zawrócę jacht. A tymczasem, proszę mnie posłuchać i natychmiast zdjąć to mokre ubranie.

## Rozdział 4

Caterina weszła wolno do salonu. Przez chwilę stała w drzwiach przyglądając się markizowi siedzącemu na sofie. Czekał na nią. Gdy podeszła bliżej, wstał. Zauważył strach czający się w jej oczach.

Miała na sobie jedną z sukni, którymi wzgardziła Odette. Była na nią trochę za duża, co sprawiało, że dziewczyna wyglądała w niej zwiewniej i młodziej niż w rzeczywistości. Wilgotne jeszcze włosy zwijały się w złote pierścionki, połyskujące w promieniach słońca przedostającego się przez bulaje.

Caterina podeszła do markiza.

— Proszę usiąść — rzekł. — Usłuchała go, siadając na brzeżku krzesła stojącego naprzeciw sofie. Palce rąk splotła w sposób, jaki zapamiętał z ich poprzedniej rozmowy na placu św. Marka. — Myślałem o sytuacji, którą pani stworzy-

ła, Caterino — powiedział — i zanim zaczniemy o czymkolwiek rozmawiać, chciałbym usłyszeć prawdę, dlaczego przyszła pani na mój jacht i dlaczego dziadkowi trudno było zaaranżować pani małżeństwo. — Przerwał i spojrzał na nią twardo. — Chcę usłyszeć prawdę. Tylko prawdę.

Markiz nie był z natury człowiekiem surowym, ale potrafił być bezwzględny, kiedy coś stawało mu na drodze. Umiał też postępować z kobietami: miał niezliczone romanse, które dostarczały plotkarzom tematu do rozmów, lecz jednocześnie jego opinia pozostała nieskalana i markiz zamierzał ten stan rzeczy utrzymać.

Dlatego też, czekając na Caterinę, zdecydował nie wplątywać się w skandal, z którym nie miał nic wspólnego, a który mógł mieć poważne konsekwencje dla jego kariery, jeśli zostanie uznany za porywacza wnuczki doży.

Było mu żal Cateriny. Widział, jaka była śliczna i, co dziwne, nie potrafił zapomnieć owego spontanicznego pocałunku ani słodyczy jej ust tamtej nocy, kiedy odszukała go na placu. Nie był to jednak wystarczający powód, aby angażować się niepotrzebnie w jej sprawy prywatne.

Pomyślał, że zdrowy rozsądek nakazuje, aby zawrócił jacht bez zwłoki. Gdyby Caterina wpadła w histerię lub znów próbowała wy-

skoczyć za burłę, mógłby ją zamknąć w kabinie aż do momentu przekazania dziadkowi. Lecz ich powrót do Wenecji najprawdopodobniej wywołałby niepotrzebne komplikacje. Przede wszystkim doża byłby ciekaw, dlaczego Caterina wybrała właśnie jego jacht i czy spotkali się już wcześniej.

Podczas pobytu markiza w Wenecji, doża zaproponował mu gościnę w swoim domu, a on odmówił. Miał w mieście kilku przyjaciół, zamierzał też znaleźć jakiegoś opiekuna dla Odette oraz odwiedzić Zanettę Tamiazzo.

Pomysł spędzenia wieczoru w rodzinnym gronie doży nie przypadł mu specjalnie do gustu i markiz zdołał w sposób jak najbardziej dyplomatyczny wymówić się od zaproszenia. Teraz zastanawiał się, jak mógłby wytłumaczyć swą znajomość z Cateriną, czuł też lekkie wyrzuty sumienia na myśl o tym, że całował dziewczynę żegnając ją przy schodach do Canale Grandę.

Była to oczywiście — tłumaczył sobie — część ducha karnawału. Wiedział jednak, że gdyby był całkiem szczery, wytłumaczenie byłoby inne. Pocałował ją, ponieważ oczarował ją jej miękkimi, nieśmiały głos. Pochlebiało mu, że słuchała go tak uważnie, i nie potrafił się oprzeć jej kształtnym młodym wargom.

Nie — pomyślał markiz — powrót do Wenecji jest może słuszny w przypadku Cateriny, lecz dla mnie spowoduje on więcej komplikacji

niż jestem w stanie znieść. Cała ta sprawa — zdążył jeszcze pomyśleć, zanim Caterina weszła do salonu — jest wielce irytująca.

Rozwiązanie obecnego problemu przyszło mu do głowy już wcześniej, lecz najpierw chciał usłyszeć, co Caterina ma do powiedzenia, i w ten sposób poznać motywy jej postępowania.

— Chcę usłyszeć prawdę, Caterino — powtórzył, wciąż czekając, aż się odezwie.

— Od czego... powinnam zacząć? — spytała nerwowo.

Jest śliczna — pomyślał markiz — cudownie, wręcz oszałamiająco śliczna... ale w tej chwili mnie to nie interesuje.

— Wszystko się zaczęło, kiedy mój angielski dziadek przyjechał do Wenecji. Było to dwadzieścia jeden lat temu, w 1770 roku.

— Jak się nazywał? — badał markiz.

— Simeon Wallace — odparła Caterina. — Był... był artystą.

— Oczywiście! — wykrzyknął markiz. — Słyszałem o nim.

— Król kupił dwa jego obrazy — mówiła dalej Caterina — księżę Walii nawet dość dużo, zanim umarł ostatniego roku.

— Był bardzo znanym malarzem — rzekł markiz.

— Dziadek przyjaźnił się z sir Joshua Reynoldsem i panem Gainsborough — ciągnęła — oprócz tego, w ostatnich latach życia, pracował



z Johnem Zoffanym. — Spodziewała się, że markiz jakoś na to zareaguje, lecz nic nie powiedział, więc opowiadała dalej: — Nie był oczywiście jeszcze tak znany, kiedy przybył do Wenecji. Chciał obejrzeć obrazy Canaletta i Guardiiego, a oni powitali go z otwartymi ramionami.

Westchnęła lekko, jakby sprawiało jej trudność dobierania słów, którymi mogłaby zrobić na markizie największe wrażenie. W tej chwili drzwi kabiny otworzyły się i wszedł Hedley niosąc tacę.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł markiz — powinienem był najpierw dać pani coś do zjedzenia, a potem dopiero rozmawiać. Musi być pani bardzo zmęczona.

— Jestem trochę głodna — odparła Caterina z uśmiechem.

Z kilku potraw, które przyniósł Hedley, Caterina wzięła trochę z jednego półmiska, i zdawało się, że na widok jedzenia straciła apetyt. Zadowolona się więc czekoladą i świeżo upieczonym rogalikiem.

Markiz usiadł na sofie po drugiej stronie salonu i przyglądał się jej. Pomyślał, że ma więcej wdzięku niż Odette poddająca się wyczerpującym ćwiczeniom w Corps de Ballet. Wdzięk Cateriny był całkowicie naturalny. Ruchy jej rąk i ciała, sposób, w jaki pochylała głowę, były rozkoszą dla oczu.

Caterina szybko skończyła czekoladę.

— Nie chcę już więcej — powiedziała. — Czy mam... kontynuować? — Pomyślał, że jest tak spięta, jakby na ławie oskarżonych walczyła o życie, a on był jej sędzią.— Na czym... skończyłam? — zapytała nerwowo.

— Pani dziadek, Simeon Wallace, przybył do Wenecji — podpowiedział markiz.

— Sądzę, że domyślił się pan, iż mój ojciec był najstarszym synem Ludovica Manina.

Dziadek piastował już wtedy urząd senatora. Mówiono o nim, jako o jednym z najinteligentniejszych członków Wielkiej Rady. Jednak Nicoletto, jego syn, a mój ojciec, bardzo go rozczarował.

Kiedy Caterina mówiła, markiz był nie tylko oczarowany jej opowieścią, lecz także zaskoczony wyjątkowo inteligentnym sposobem opisywania zdarzeń, które były przecież historią jej życia. Szybkie gesty rąk pomagały wyobrazić sobie całą historię, rozwijającą się przed jego oczami niemal jak panorama, w której Wenecjanie byli tak rozmiłowani.

Nicoletto Manin był człowiekiem inteligentnym, studiował na uniwersytecie w Padwie, gdzie kształcili się wszyscy młodzi weneccy arystokraci. Różnił się od swych kolegów nie tylko chęcią do nauki, lecz także rewolucyjnymi ideami, które wyznawał. Ojciec karmił go często za zbytnią szczerą, a przede wszystkim za

publikowanie swych poglądów w doskonałych krytycznych artykułach ukazujących się w *Gazette Veneta* i *Osservatore*.

Wenecja była pierwszym miastem na świecie, które miało własną gazetę, a liczba publikacji ukazujących się tam w XVIII wieku była nadzwyczajna.

*Osservatore*, wydawany przez literatów i ludzi nauki, był jednym z bardziej wpływowych pism. Artykuły Nicoletta zaczynały wywoływać komentarze wśród potężnych członków senatu.

Nicoletto bardzo kochał ojca, dlatego przestał pisać o polityce, a po ukończeniu uniwersytetu zainteresował się teatrem.

Potem doszedł do wniosku, że prawdziwe powołanie odnalazł w malarstwie. Skoro nie pozwolono mu pisać, swoje przekonania chciał wyrazić pędzlem i paletą! W Wenecji wielu artystów miało pracownie malarskie i wkrótce Nicoletto zwiedził je wszystkie. Zachwycili się nim i bracia Guardi, i Canaletto. Było więc nieuniknione, że kiedy Simeon Wallace przyjechał do Wenecji, poznał również Nicoletta Manina.

Lecz Simeon Wallace nie przybył sam: przywiózł ze sobą córkę. Elizabeth Wallace była śliczna w stylu bardzo angielskim. Miała jasne włosy, żywe błękitne oczy i urok, któremu ulegał każdy, kto ją spotkał. Nicoletto Manin nie był wyjątkiem. Po miesiącu od ich poznania

stanął przed Wielką Radą, prosząc o pozwolenie poślubienia jej.

Pomimo wsparcia ojca, który wiedział, jakie to ma znaczenie dla syna, Rada odmówiła jego prośbie. Nicoletto usłyszał, że Rada nie znajduje żadnych specjalnych powodów, aby pozwolić patrycjuszowi na poślubienie cudzoziemki bez szlacheckiego rodowodu.

Nicoletto błagał, odwiedzał różnych senatorów, lecz wszyscy pozostali niewzruszeni.

Kiedy Simeon Wallace postanowił razem z córką wyjechać z Wenecji, zrobił to również Nicoletto. Pobrali się z Elizabeth w Londynie. Ponieważ londyńczycy byli znacznie bardziej tolerancyjni niż Wenecjanie, młoda para szybko odnalazła swoje miejsce w miłym intelektualnym środowisku, a Nicoletto został malarzem.

Jego teść wprowadził go do środowiska angielskich malarzy i Nicoletto odkrył, że niecodzienny styl Richarda Coswaya, a zwłaszcza jego miniatury, był właśnie tym, w czym on chciałby się specjalizować.

Nie próbował być wielkim mistrzem. Skoncentrował się na malowaniu miniatur, które były tak dobre i tak miłe dla oka, że wszyscy chcieli je kupować. Także królowa zażyczyła sobie, aby namalował portrety jej licznych dzieci. W ten sposób Nicoletto stał się modny. Nicoletto i Elizabeth nie byli bogaci, lecz żyli dość wygodnie. Oboje inteligentni, dowcipni

i zabawni, przyciągali do domu ludzi o podobnych zainteresowaniach i cechach charakteru.

Richard Brinsley Sheridan, znany dramato-pisarz, Charles James Fox, błyskotliwy polityk i bliski przyjaciel młodego księcia Walii, często siadywali w studiu Nicoletta Manina rozmawiając do wczesnych godzin rannych.

W takim otoczeniu wyrosła Caterina; uznawała konwersację za znacznie bardziej interesującą niż taniec, dowcip za bardziej zabawny niż komplementy, a poczucie humoru za bardziej ekscytujące niż nowa suknia lub kosztowna wstążka do włosów.

— Papa zawsze mówił, że dowcip jest jak błyszczący klejnot — oświadczyła Caterina markizowi — i znacznie bardziej pochlebia kobiecie.

Potem markiz dowiedział się o tragedii, która zmieniła jej życie. Najpierw umarła matka. Długo chorowała, a lekarze nie umieli postawić właściwej diagnozy. Potem ojca zmogło nie wyleczone poprzedniej zimy przeziębienie.

Kiedy została sierotą, jeden z przyjaciół rodziny skontaktował się z ambasadorem weneckim w Londynie, który zorganizował jej podróż do dziadka, będącego od dwóch lat dożą Wenecji.

— Proszę mówić dalej — powiedział markiz spokojnie. — Zaczynam rozumieć, dlaczego

tak trudno było dziadkowi znaleźć dla pani kandydata na męża.

— Papa oczywiście utracił wszelkie prawa do dawnej pozycji społecznej zarówno dla siebie, jak i dla swoich dzieci — ciągnęła Caterina. — Kiedy przybyłam, aby zamieszkać w pałacu dziadka, dokładnie mi to wyjaśniono. Tym samym zdałam sobie sprawę, że nie byłam mile widziana przez żadnego z moich krewnych. — Jej głos drżał. — Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami i nie mieli czasu dla dziewczyny, której nigdy przedtem nie widzieli, a której ojciec popełnił mezalians. Dogaressa, moja babka, zawsze mówiła o tym ze wstrętem.

— Nie była zadowolona, że panią poznała? — zapytał markiz.

— Nigdy nie wybaczyła synowi i sądzę, że próbowała o nim zapomnieć — odparła Caterina. — Ja byłam niewygodnym przypomnieniem tego, co uczynił, a co splamiło nazwisko rodziny. Podobnie jak dziadek, myślała, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wydać mnie jak najszybciej za męża.

— Zgodziła się pani na to?

— A... cóż innego mogłam zrobić?

Było coś tak bezradnego w jej głosie, że markiz musiał nakazać sobie, aby dalej pozostać niewzruszony.

— W końcu jednak dziadek znalazł pani kandydata na męża — powiedział stanowczo.

— Tak, markiz Soranzo zgodził się to zrobić —odparła. —Lecz, jak już panu powiedziałam, markiz jest człowiekiem starym, ma prawie sześćdziesiąt lat i był dwukrotnie żonaty! Byłam przerażona, kiedy dziadek powiedział mi o tym. Błagałam go, aby nie zmuszał mnie do tak odrażającego małżeństwa, ale nie chciał słuchać.

Opowiedziała markizowi o tym, jak poszła do biblioteki i znalazła ową francuską książkę, a w niej słowa, które wywarły na niej tak ogromne wrażenie.

— Wróciłam do swojego pokoju. Służąca była niespokojna, gdyż spóźniłam się z ubieraniem! Włożyłam srebrną brokatową suknię, którą wybrała dla mnie ciotka, i Koronę Narzeczonej. Przybył posłaniec z darami od mego przyszłego... męża.

— Są istotnie wspaniałe — rzekł markiz sucho.

— Sądzę, że... obie jego poprzednie żony je nosiły —odparła Caterina —gdyż moja ciotka wciąż powtarzała, jak bardzo je kiedyś podziwiała.

Potem Caterina opisała przyjęcie zaręczynowe, które odbyło się w Sala del Maggior Consiglio. Została ona przebudowana w XIV wieku, po wielkim pożarze, i teraz mogła pomieścić setki gości. Tam właśnie doża wydawał przyjęcia dla królów i innych ważnych osobistości odwiedzających Wenecję.

Tego wieczoru przybyli jedynie krewni oraz przyjaciele doży i dogaressy, aby świętować zaręczyny ich wnuczki. Stoły zastawiono prawdziwymi skarbami: złotymi talerzami, platerami i ogromnymi kandelabrami. Do kolacji zasiadło dwustu gości, a inni, mniej ważni, mieli pojawić się później.

Kolacja składała się z dwunastu dań. Biesiadnikom przygrywała orkiestra złożona z oboju, skrzypiec i klawikordu. Goście jedli, orkiestra grała, a tenorzy śpiewali arie z najnowszych operetek.

Caterina otrzymała tyle gratulacji i życzeń szczęścia, że pomyślała, iż byłaby bardzo złą i nieczułą dziewczyną, gdyby nie okazała wdzięczności za tak wiele uwagi i dobroci.

Może mogłabym być dobrą żoną dla markiza, pomyślała. Może on będzie dla mnie...

dobry i czuły? Przypomniała sobie, że tych właśnie słów użył markiz Melford, kiedy rozmawiali przy kawiarnianym stoliku. Może mimo wszystko, myślała, okaże się jak inni weneccy mężowie mało zainteresowany żoną i pozwoli mi robić, co tylko zechcę.

Podczas kolacji zaczęła myśleć, że mogłaby zająć się malowaniem lub robieniem koronek. Przecież w Wenecji znalazłaby wielu nauczycieli, a gdyby poświęciła temu zajęciu dużo czasu, nie musiałaby kłopotać się *cicisbea* ani spędzać trzy lub cztery godziny dziennie przed lustrem



na doskonaleniu urody. Należy zachować rozsądek, pomyślała. To jest moje życie i muszę je przeżyć jak najlepiej.

Po kolacji uprzątnięto stoły, zaczęła grać muzyka, przybyli nowi goście i rozpoczęły się tańce.

Tak jak śmiech, taniec był nieodłączną częścią życia Wenecji. Na Caterinę czekało wielu tancerzy. Później, sama dobrze nie wiedząc, jak do tego doszło, stała na balkonie wychodzącym na lagunę. Przy niej był jej przyszły mąż.

Patrząc na lagunę, Caterina dojrzała wielki statek wypływający z portu. Żagle miał wydęte, na pokładzie i w kabinach paliły się światła. Mógł to być jacht markiza opuszczającego Wenecję. Przypomniała sobie dotyk jego ust i magię pierwszego pocałunku. Wraca do Anglii, pomyślała czując nagły ucisk w sercu.

— Jesteś bardzo piękna, moja mała. Drgnęła na dźwięk głosu markiza Soranzo, zdążyła zapomnieć, że stał przy niej.

— Dziękuję bardzo — odparła.

Ujął jej rękę i przytrzymał w swojej, patrząc na wielki diamentowy pierścień, który miała na palcu.

— Podobają ci się moje prezenty? — spytał.

— Są bardzo imponujące—odpowiedziała Caterina.

Starła się powstrzymać drzenie, jakie wywoływał dotyk jego zimnych i jakby wilgotnych palców.

— Podziękujesz mi jutro — rzekł markiz. Mówiąc to, uniósł jej rękę i pocałował dłoń od wewnątrz. Najpierw wargami badał gładkość jej skóry, po czym Caterina poczuła na dłoni czubek jego języka. Wstrząsnęła nią odraza. Była przepełniona obrzydzeniem, jak nigdy w życiu!

Próbowała wysunąć dłoń z jego ręki, lecz trzymał ją mocno. Spojrzała mu w oczy i ogarnął ją strach, a głos zamarł w gardle.

W świetle księżyca wyraźnie widziała jego oczy błyszczące żądzą, którą rozpoznała mimo swej niewinności. Widziała też jego wąskie wargi rozchylone w lubieżnym uśmiechu, a pomiędzy nimi żółtawe, psujące się zęby starego człowieka.

Mówiąc coś niezrozumiale, odsunęła się od niego.

— Do jutra—powiedział cicho, a jej wydawało się, że warknęło na nią jakieś dzikie zwierzę.

— Musimy... wrócić do gości — powiedziała i zanim zdołał ją powstrzymać, poszła do sali balowej, szybko oddalając się od niego pomiędzy tańczącym tłumem.

Była pewna, że nie może go poślubić. To było niemożliwe! Nie mogła nawet pozwolić, aby jeszcze raz jej dotknął! Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, tarła dłoń, jakby chciała zetrzeć z niej ślad po ohydnyim pocałunku.

Klucząc pomiędzy tancerzami doszła do wielkich malowanych drzwi sali balowej. Wciąż nie myśląc o tym, co robi, zbiegła po szerokich marmurowych schodach.

W holu wejściowym dostrzegła złożone na licznych stołach i krzesłach płaszcze, peleryny i kapelusze gości. Podświadomie, jakby ktoś jej pomagał w ucieczce, skierowała wzrok na leżące domina.

Służący pilnujący okryć plotkowali między sobą, więc kiedy nie patrzyli w jej stronę, wzięła jedno domino i maskę. Było na nią zbyt obszerne i za długie. Przykryła nim suknię, na głowę włożyła kaptur, a na twarz maskę. Potem śmiało i bez wahania podążyła ku drzwiom. Dwóch lokajów otworzyło je bez słowa. Zakryta dominem, mogła równie dobrze uchodzić za szczupłego młodego człowieka, a im nawet przez myśl nie przeszło, że jest kobietą.

Na placu św. Marka trwała zabawa. Nie zauważona, Caterina wślizgnęła się w jedną z bocznych uliczek, a potem, kierując się instynktem, podążyła ku nabrzeżu.

Szła szybko po brukowanym falochronie i w pobliżu jachtu zastanowiła się po raz

pierwszy, co powie markizowi. Co się stanie, jeśli nie będzie nawet chciał wysłuchać je próśb o schronienie albo nie pozwoli wejść na pokład?

Znalazła jacht. Trap był spuszczonej. Na drugim końcu pokładu zauważyła strażnika na nocnej wachcie. Nie zastanawiając się wiele nad tym, co powinna zrobić, weszła na pokład. Wartownik zobaczył ją, lecz nie wykonał żadnego gestu. Caterina pomyślała, że pewnie bierze ją za przyjaciółkę markiza.

Zeszła po schodkach prowadzących w dół jachtu. Wiedziała, jak wygląda wnętrze statku, a jacht markiza nie różnił się zbytnio od szkunera, który przywiózł ją do Wenecji. Łatwo było odgadnąć, po której stronie są kabiny właściciela. Otworzyła jakieś drzwi, zobaczyła porozrzucane kobiece suknie i szybko je zamknęła.

Otworzyła drzwi sąsiedniej kabiny. Cisza panująca na jachcie wskazywała na nieobecność markiza, a upewniła ją o tym pusta kabina i nie pościelone do spania łóżko.

Caterina szybko rozejrzała się po kabinie. Drzwi z prawej strony prowadziły do łazienki.

Potem spostrzegła malowaną szafę. Przycupnęła w jej kącie i zamknęła za sobą drzwi.

Przy odrobinie szczęścia, pomyślała, markiz nie zdoła mnie odkryć, póki nie będziemy na pełnym morzu.

Głos Cateriny stopniowo cichł, aż w końcu umilkła.

— Miałam nadzieję... — powiedziała jeszcze cichutko — że może... nie odkryje pan mojej obecności przez wiele dni.

— Bardzo by pani zgłodniała do tego czasu — zauważył markiz.

— To nie było... istotne — odparła Caterina. — Teraz wie pan, dlaczego to zrobiłam.

Markiz poprawił się w krześle nieco niespokojnie.

— Zdaję sobie sprawę z pani kłopotliwego położenia — rzekł — ale musi pani wiedzieć, Caterino, że nie byłem w Wenecji jedynie dla swej własnej przyjemności.

— Wiem — odparła Caterina. — Lecz jeśli senat nie przejął się pana argumentami, dlaczego pan miałby się przejmować ich stosunkiem do mnie?

— Dlatego że jest to sprawa, która może wywołać skandal na skalę międzynarodową — odpowiedział markiz. — Senat z pewnością poskarży się na mnie rządowi brytyjskiemu, a ja zdradzę zaufanie premiera, jeśli wezmę udział w czymś tak nieodpowiedzialnym jak ucieczka wnuczki doży od tego, co oni postrzegają jako jej zobowiązania.

Jego głos był szorstki. Caterina drgnęła, jakby markiz ją uderzył.

— Nie odeśle mnie pan... z powrotem? — spytała prawie szeptem.

— Taka była moja pierwsza myśl — odparł markiz. — Lecz wymyśliłem inny plan. — Caterina słuchała go w napięciu. — Natychmiastowy powrót nie bardzo by mi odpowiadał — ciągnął — bo myślę o sobie tak samo, jak o pani. Dlatego zawiozę panią do Neapolu, który leży niemal po drodze. — Ton głosu markiza był obojętny. — Tam przekażę panią ambasadorowi Wenecji, a pani zachowa się jak uzna za stosowne. Zostawię też wystarczającą sumę pieniędzy, aby mogła pani czuć się niezależna, przynajmniej przez jakiś czas.

Zabrzmiało to bardzo stanowczo. Caterina przez chwilę milczała, a potem powiedziała pogardliwie:

— Rozwiązanie godne polityka!

— Co pani przez to rozumie? — zapytał markiz.

— Niewątpliwie jest to rozwiązanie — odparła — a w dodatku w najmniejszym stopniu nie zagraża pana głównemu celowi. — Przerwała na chwilę, a potem cichym, oskarżającym głosem dodała: — Którym jest oczywiście... pozbycie się mnie! — Wstała z krzesła i rzuciła się na kolana przed markizem.

— Proszę — błagała go — proszę zabrać mnie ze sobą do Anglii! Mam tam... krewnych, którzy zaopiekują się mną. Nie sprawię panu

kłopotu, nikt nawet... nie dowie się, że jestem na jachcie. Pozostanę w mojej kabinie, ilekroć zawiniemy do jakiegoś portu, i jestem pewna, że jeśli wyda pan odpowiedni rozkaz, załoga też będzie milczała. — Wyciągnęła ręce i chwyciła go za ramię. — Proszę... proszę — błagała. — Wie pan dobrze, że mam dość pieniędzy i dam sobie radę, kiedy już będę w Anglii. Nie potrzebuję ani pańskiej pomocy, ani nikogokolwiek innego. Zwrócę się do... moich krewnych i oni... zaopiekują się mną.

— Dlaczego nie zwróciła się pani do nich wcześniej? — zapytał markiz.

Caterina zawahała się, a on miał wrażenie, że szuka odpowiednich słów.

— Oni nie są... bogaci — odparła wolno. — Nie chciałam być dla nich ciężarem. Sądziłam też, że... powinnam odwiedzić... rodzinę mojego ojca.

— To ma sens — przyznał.

— Zabierze mnie pan... do Anglii? — Zdawało się, że markiz to rozważa, lecz Caterina była pewna, że stanowczo zaciśnięte usta i kwadratowa linia podbródka wskazują raczej na myślenie o skandalu i kłopotach, jakich mogłaby mu przysporzyć. — Przyrzekam na wszystko co dla mnie święte — odezwała się — że nigdy nikomu nie powiem o naszej znajomości, jeśli tylko wysadzi mnie pan bezpiecznie na brzeg w Anglii. Pozostanie to... naszą tajemnicą.

I będę się trzymała z dala od pana! Wiem, że kobiety są dla pana utrapieniem, ale ja postaram się nie nudzić!

— Za to z pewnością potrafi mnie pani irytować! — odparł markiz. — Jest to najbardziej kłopotliwa i potencjalnie niebezpieczna sytuacja, w jakiej kiedykolwiek się znalazłem. Uwolnił się od obejmujących go ramion Cateriny i wstał. Ona osunęła się na podłogę i patrzyła, jak chodził niespokojnie po salonie. W końcu usiadł najdalej jak mógł od niej, celowo nie patrząc w jej stronę.

— Powinien był pan... pozwolić mi utonąć — powiedziała cicho. — To by było rozwiązanie... dla nas obojga.

— Histeryzuje i dramatyzuje pani zupełnie świadomie — stwierdził krótko markiz. — Śmiem twierdzić, że rzucając się do morza dobrze pani wiedziała, że zostanie uratowana. W jej oczach pojawił się ból, a twarz pokryła się rumieńcem, który po chwili zniknął, pozostawiając jej twarz jeszcze bledszą niż przedtem.

Zastanawiał się, co w niej jest takiego, że poczuł się jakby uderzył małe bezbronne stworzonko. Była w niej jakaś dziecięca wrażliwość. Przypomniawszy sobie, że do tej pory miał do czynienia tylko z kobietami doświadczonymi, które dobrze wiedziały, jak o siebie zadbać.

— Boże Wszechmogący! — wykrzyknął głośno. — Czy kiedykolwiek był ktoś bardziej



skonsternowany nieprzewidywalnymi kapryсами kobiet!

— Ja... przepraszam... — wyszeptała Caterina.

W głowie markiza brzmiał gniew, a zobaczywszy łzy w błękitnych oczach Cateriny, rozeźlił się jeszcze bardziej.

— Niech to licha! — zakrzyknął. — Teraz znów łzy! Użyje pani każdego środka, aby osiągnąć swój cel, prawda?

## **Rozdział 5**

Gniew markiza sprawił, że opanowanie Cateriny podtrzymywane ostatnim wysiłkiem woli załamało się i dziewczyna wybuchnęła płaczem. Potem podniosła się i wybiegła z salonu. Markiz uniósł się z krzesła. Pomyślał przez moment, że Caterina wybiegnie na pokład i znów rzuci się do morza. Z uczuciem ulgi usłyszał, że biegnie w kierunku swojej kabiny, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Poczuł lekkie wyrzuty sumienia, przypomniawszy sobie, że podczas rozmowy na placu zapytał: „Czy mogę w czymś pomóc?” Pożałował tych słów, zanim skończył je mówić. Były przecież tylko konwencjonalnym wyrazem współczucia.

— To wszystko jest niedorzeczne! — przekonywał sam siebie. — Jako wnuczka doży, ma zapewnioną pozycję w towarzystwie, nawet jeśli

jej ojciec, przez małżeństwo z kobietą z niższej klasy, utracił dla siebie i swoich potomków członkostwo w Wielkiej Radzie. A jeśli markiz Soranzo ją przeraził... cóż, nauczy się, jak inne kobiety, radzić sobie z mężem.

Zdawał sobie jednak sprawę, jak odrażająca była dla niego myśl, że dziewczyna tak zachwycająca jak Caterina, zostanie poślubiona lubieżnemu starcowi.

Przypominając sobie wszystkie kobiety, z którymi miał do czynienia, markiz przyznał szczerze, że niewiele było wśród nich młodych dziewcząt. Tak więc, na temat czystości i niewinności kobiecej miał ograniczoną wiedzę.

To jeszcze bardziej upewniło go w postanowieniu, że musi się pozbyć Cateriny. Im szybciej, tym lepiej.

Podróż do Neapolu nie potrwa długo, jeśli tylko będą im sprzyjały wiatry. Wcześniej zamierzał zawinąć do Messyny, lecz wiedział, że tam nie rezyduje żaden ambasador wenecki, któremu mógłby powierzyć Caterinę.

Miał zamiar dać dziewczynie pewną kwotę pieniędzy, na tyle dużą, aby zapewniła jej niezależność. Gdyby znów uciekła, zanim zostałaby dostarczona do Wenecji, nie byłoby to już jego zmartwieniem i nie obciążałoby jego sumienia.

W swojej kabinie Caterina rzuciła się na łóżko i płakała rozpaczliwie w poduszkę. Potem, kiedy uspokoiła się trochę, zastanowiła się,

dlaczego gniew markiza tak bardzo nią wstrząsnął. Przecież czegoś takiego należało oczekiwać.

Spodziewała się, że jej zniknięcie wywoła skandal, lecz incydent ten urósłby do straszliwych rozmiarów, gdyby wyszło na jaw, że opuściła Wenecję z markizem. Był przecież bardzo ważną postacią w świecie polityki, nawet dziadek liczył się z jego pozycją, ponieważ przybył do Wenecji jako osobisty wysłannik premiera Wielkiej Brytanii. Ufała mu od pierwszej chwili, od momentu, kiedy zobaczyła go płynącego gondolą po Ca-nale Grandę. Zapytała wtedy dziadka, kim był.

Stali wszyscy w oknie pałacu siostry doży, ciotecznej babki Cateriny, która zaprosiła ich do siebie.

— To jest angielski arystokrata, markiz Melford— odparł doża na pytanie Cateriny.

— Jest bardzo przystojny — zauważyła cicho Caterina.

— Melford! — wykrzyknęła jej cioteczna babka. — Zdaje się, że znam to nazwisko! Ależ oczywiście! To on jest tym *beau*, za którym szalała Zanetta Tamiazzo, kiedy była w Paryżu! Wszyscy o nim mówili, bo zanim się pojawił, Zanetta była kochanką księcia Orleanu; pozycja godna pozazdrosczenia, jak na kogoś w jej rodzaju!

— Ale wołała markiza—zachichotał doża.

— Uciekła z nim do Anglii — ciągnęła jego siostra — cały Paryż śmiał się z porażki księcia,

który nie był przyzwyczajony do tego, że robi się z niego głupca.

— Nie było to bardzo dyplomatyczne — zauważył doża.

— Lecz z pewnością nadzwyczaj satysfakcjonujące — odpowiedziała jego siostra.

Caterina nie wspomniała już więcej o markizie, lecz myślała o nim. A teraz, leżąc na łóżku z policzkami wciąż mokrymi od łez, stwierdziła, że właśnie wtedy zakochała się w nim!

Nie wiedziała, że była to miłość. Pragnęła tylko znów go zobaczyć i nie mogła znieść zamknięcia w pałacu dożów, podczas gdy on z pewnością dobrze się bawił.

Wszyscy, powiedziała sobie, będą wczesnym wieczorem na placu św. Marka. Podczas karnawału gromadziła się tam cała Wenecja, z wyjątkiem dziewcząt takich jak ona, nieustannie strzeżonych z obawy, że mogłyby wpaść w kłopoty. Caterina przekupiła swą pokojówkę obietnicą podarowania złotej broszy, aby dostarczyła jej maskę i koronkowe *tabarro*, którym weneckie kobiety zakrywały głowy i ramiona.

Wyślizgnąwszy się z pałacu tylnymi drzwiami, wynajęły gondolę, która zawiozła je na drugi kraniec placu św. Marka. Trochę przerażona tym przedsięwzięciem, Caterina przeciskała się przez tłumy, aż dotarła do wąskiej uliczki wiodącej do placu. W tym momencie ujrzała markiza. Zbliżyła się niepostrzeżenie i usłyszała,

że mówił coś po angielsku do Odette. Upewniło ją to, że nie popełniła omyłki.

A później, kiedy ją pocałował — zanim jego usta dotknęły jej warg niosąc ze sobą uniesienie i zachwyty, jakich dotąd nie знаła — już wiedziała, że go kocha. ,

Kiedy mieszkała z rodzicami w Londynie, poznała wielu mężczyzn o różnym statusie społecznym. Byli wśród nich tacy, którzy prawili jej komplementy, a nawet próbowali pocałować „śliczną panienczkę”.

Lecz Caterina potrafiła strzec się dobrze, zwłaszcza gdy w grę wchodził przyjaciele jej ojca. Śmiała się z ich komplementów, unikała pocałunków, a oni byli zbyt inteligentni i dobrze wychowani, aby przestraszyć ją lub obrazić.

Nie byłaby jednak kobietą, i do tego pół-wenecjanką, gdyby nie marzyła o mężczyźnie, którego pewnego dnia pokocha z wzajemnością.

Kocham go, pomyślała, lecz on nie może się o tym dowiedzieć, gdyż uważa mnie za utrapienie, którego należy się koniecznie pozbyć.

Myśl ta wywołałaby nową falę łez, gdyby nie przypomniała sobie, że płacz rozłości markiza jeszcze bardziej. Zazwyczaj panowała nad sobą, lecz bezsenna noc, emocje związane z małżeństwem oraz strach przed przyszłym mężem osłabiły jej nerwy.

Podniosła się z łóżka i obmyła twarz w umywalce stojącej w rogu kabiny.

Osuszyła oczy i układała właśnie włosy przed lustrem, kiedy rozległo się pukanie.

— Avanti — powiedziała po włosku, zapominając, że służący na jachcie byli Anglikami. Lecz w drzwiach stanął markiz. W rękach trzymał Koronę Narzeczonej i inne jej klejnoty. Położył je na łóżku i wrócił, aby zamknąć za sobą drzwi.

— Przyniosłem je, Caterino — rzekł — ponieważ należą do pani. Pokażę, gdzie można je bezpiecznie schować. — Przeszedł przez pokój i otworzył kaseton w boazerii. Jej oczom ukazała się skrytka, podobna do tej, którą miał w swojej kabinie. — Proszę nie mówić o tym nikomu — powiedział — nawet Hedleyowi. Pomyślałem, że będzie pani chciała mieć klejnoty przy sobie. Oto klucz.

Sposób, w jaki to mówił, oraz wyraz jego oczu wskazywały na chęć przeproszenia za zachowanie w salonie.

— Dziękuję — odpowiedziała.

— Lunch podadzą dopiero za półtorej godziny — poinformował ją. — Będę na pokładzie. Pozwolę sobie zauważyć, że po niezbyt wygodnie spędzonej nocy, byłoby mądrze, gdyby się pani położyła i przespala.

— Zrobię tak — odparła Caterina. Przez chwilę nic nie mówił, domyśliła się, że ostrożnie dobiera słowa, aby jej coś powiedzieć.

— Za sześć dni dotrzemy do Neapolu — powiedział wreszcie — pod warunkiem, że będziemy mieć sprzyjające wiatry. Proponuję, abyśmy w tym czasie nie wracali do tego tematu. Dla pani z pewnością jest on przykry. Odłóżmy go do momentu, kiedy ponownie zawiniemy do portu. Zgoda?

Caterina odniosła wrażenie, że markiz myślał bardziej o swojej niż o jej wygodzie. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie mogą bez przerwy dyskutować i spierać się. Jeśli zamierzał zostawić ją w Neapolu, to nie było sensu marnować tych dni, które mieli spędzić razem, na doprowadzanie go do gniewu. W końcu pozbyłby się jej z jeszcze większym zadowoleniem.

— Nie będziemy rozmawiać... o tym — powiedziała potulnie.

— Więc proszę iść do łóżka i odpocząć — rozkazał markiz. — Hedley obudzi panią przed lunchem.

Uśmiechnął się do niej. Caterina poczuła, jak jej serce szybciej bije z radości; w jego głosie nie było już gniewu ani irytacji. Dostrzegła nawet cień podziwu na jego twarzy, gdy patrzył na jej włosy i błękitne oczy.

Caterina nie towarzyszyła jednak markizowi podczas lunchu. Kiedy zszedł do salonu, Hedley poinformował go, że pukał do kabiny Cateriny. Nie słyszał żadnej odpowiedzi, więc zajrzał do środka.



— Młoda pani głęboko śpi, milordzie.

— Więc pozwólmy jej spać — odparł markiz. — Dramaty są niezmiernie wyczerpujące i odpoczynek dobrze jej robi.

— Nocny strażnik jest bardzo zmartwiony, milordzie, że ostatniej nocy wziął pannę Cateri-nę za madame Odette.

— To zrozumiały błąd, gdyż młoda dama nosiła maskę — odparł markiz. — Powiedz strażnikowi, aby o wszystkim zapomniał.

— Będzie bardzo wdzięczny, milordzie — powiedział z szacunkiem Hedley.

Markiz zjadł lunch z apetytem, a potem wrócił do kabiny, aby skończyć raport dla pana Pitta. Praca tak go zajęła, że pisał przez całe popołudnie, a kiedy skończył, okazało się, że nadszedł czas, aby przebrać się do kolacji.

Nawet na morzu markiz nie odstępował od siadania do posiłku w nienagannym stroju.

Kolacja była ceremonialnym wydarzeniem, również wtedy, gdy był sam.

Kiedy wchodził do salonu, Caterina już na niego czekała. Z rozbawieniem dostrzegł, że ubrała się w suknię Odette, za którą zapłacił znaczną sumę u jednego z najdroższych krawców na Bond Street.

— Czy dobrze pani odpoczęła? — zapytał markiz.

— Wstydzę się, że spałam tak długo — odparła Caterina.

— Nie ma powodu, aby czuła się pani winna — odrzekł. — To najlepsza rzecz, jaką mogła pani uczynić.

Usiedli obok siebie na sofie. Hedley podał markizowi kieliszek madery, a Caterina podziękowała za trunki.

— Wygląda pani bardzo ładnie — powiedział markiz. Domyślał się, ile musiała zadać sobie trudu, aby ułożyć włosy według obowiązującej ostatnio w Londynie mody.

— Czy nie ma mi pan za złe, że noszę suknie, które znalazłam w mojej kabinie? — zapytała niespokojnie Caterina. — Usłyszałam niechcący, że wzgardziła nimi dama, do której należały, pozwalając je wyrzucić za burtę.

— Cieszę się, że mogą się jeszcze przydać — odparł markiz.

Caterina roześmiała się.

— Rzeczywiście, przydały się bardzo — powiedziała. — Pański służący przeraził się stanem mojej jedynej sukni. Obawiam się, że po owym nurku do morza nigdy już nie będzie taka jak poprzednio.

— Nurku! - powtórzył markiz kpiąco. — Kto panią nauczył tego słowa?

— Na statku, który przywiózł mnie do Wenecji było wiele dzieci — wyjaśniła — to one wzbogaciły mój słownik.

— Kiedy opowiadała mi pani o tym, jak przybyła do Wenecji, sądziłem, że posiada pani

dość znaczny zasób słów — stwierdził markiz. — Czy myślała pani kiedyś o pisaniu, jak pani ojciec?

— Napisałam kilka wierszy — wyznała Caterina.

— Więc myślę, że należy dalej to robić — powiedział markiz wesoło — może pewnego dnia pani pamiętniki wzbudzą wielkie zainteresowanie.

— A pana byłyby tak zabawne, albo raczej tak skandalizujące, jak pamiętniki Casano-wy — odcięła się Caterina.

Markiz uniósł brwi.

— Kto pani opowiadał o tym niesławnym dżentelmenie? — zapytał.

Caterina uśmiechnęła się.

— Dziesięć lat temu zakazano wydawania tej książki w Wenecji — odpowiedziała — lecz czytał ją każdy! Moja pokojówka miała egzemplarz i chciała mi ją pożyczyć, ale... niestety opuściłam Wenecję.

— Z pewnością nie jest to książka dla pani — powiedział stanowczo markiz.

— Myślę, że on tylko przelał na papier to,  
o czym wszyscy Wenecjanie mówią dzień  
i noc — czyli o swoich podbojach miłosnych!

Markiz miał właśnie odpowiedzieć, kiedy wszedł Hedley oznajmiając, że podano kolację. Przeszli do salonu oświetlonego świecami usta-

wionymi w srebrnym kandelabrze. Stojące na stole kryształowe kieliszki ozdobione były herbem markiza.

— Żyje pan w wielkim luksusie, milordzie — zauważyła Caterina, kiedy Hedley, wspomagany przez dwóch służących, podawał im na srebrnych półmiskach wyborne egzotyczne dania.

— Dlaczegoż by nie? — zapytał markiz. — Sądzę, że pani zdaniem Anglików charakteryzuje przeświadczenie, iż cnotą jest cierpliwe znoszenie niepotrzebnych niewygód. Jestem przygotowany na taką ewentualność, lecz tylko wtedy, kiedy nie można jej uniknąć.

— Brzmi to bardzo praktycznie — odparła Caterina — lecz ciekawa jestem, jak każde z nas zniosłoby prawdziwą niedolę, na przykład, gdybyśmy zgubili się na Saharze lub musieli przez lata mieszkać na jakiejś bezludnej wyspie na Pacyfiku.

— Fascynująca myśl — rzekł markiz. — Czy ową niedolę ten nieszczęśnik miałby znosić sam, czy też mógłby mieć towarzysza?

— Myślę, że mogę pozwolić mu na towarzysza — odparła Caterina.

— Jakże ostrożnym należy być przy jego wyborze! — wykrzyknął markiz.

— Istotnie — potwierdziła — bo przecież tematy rozmów mogłyby się wyczerpać już po jednym dniu.

— A wtedy trzeba by było wysłuchiwać nieustannych skarg i utyskiwań— zauważył markiz myśląc o Odette.

— Miałam na myśli raczej odkrywanie czegoś wspaniałego, na co nigdy wcześniej nie miało się czasu — powiedziała Caterina.

—Co takiego? —zainteresował się markiz.

— Nie odkryte głębie własnego i towarzysza charakteru — odparła. — Papa zawsze twierdził, że wykorzystujemy jedynie dziesiątą część wiedzy, reszta jest w nas gdzieś utajona. Zawsze myślałam, że odkrywanie pozostałych dziewięćdziesięciu procent, choćby tylko dla siebie, mogłoby być fascynujące.

Później tego samego wieczoru, leżąc w łóżku, markiz jeszcze raz wspominał tę rozmowę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jadł kolację z kobietą tak piękną jak Caterina, nie rozmawiając z nią o miłości, obserwując, jak ona z nim flirtuje i umyślnie go wabi wszelkimi znanymi sobie, kobiecymi sposobami.

Lecz Caterina potrafiła rozmawiać interesująco i bezosobowo. Jednocześnie jej pomysły były oryginalne, co nie tylko zaskoczyło markiza, lecz także sprawiło, że spędził ten wieczór przyjemniej niż tego oczekiwał.

Caterina jest niezwykła, przyznał markiz, zanim zasnął, bardzo niezwykła.

Następnego dnia była piękna słoneczna pogoda. Płynęli szybko po Adriatyku, a w oddali

widać było wysokie góry Albanii. Większość czasu markiz spędzał na pokładzie lub płynąc w morzu. Gdy zszedł na dół, znalazł Caterinę pogrążoną w lekturze.

— Nie wyjdzie pani na pokład? — zapytał. — Świeże powietrze dobrze pani robi.

— Bardzo chętnie — odparła nieśmiało — lecz nie chciałabym sprawiać kłopotu.

— Wskażę pani osłonięte od wiatru miejsce — obiecał markiz.

Zabrał ją na pokład i kazał ustawić wygodne krzesło, z którego mogła podziwiać mieniące się zielenią i błękitem morze, oraz słuchać krzyków mew krążących nad jachtem.

Kiedy pod koniec dnia przebierał się do kolacji, pomyślał, że dziewczyna z pewnością nie jest utrapieniem. Właściwie oczekiwał z niecierpliwością każdego wspólnego posiłku. Doceniał, że w przeciwieństwie do Odette, nie żądała od niego niczego i najwyraźniej zadowalała się czytaniem, nie oczekując asystowania jej przez cały dzień.

— To bardzo miła młoda dama, milordzie, jeśli wolno mi stwierdzić — zauważył Hedley wiążąc krawat markiza według ostatniej mody.

— Dlaczego tak twierdzisz? — zaciekawił się markiz.

— Panna Caterina tak rozmawia z ludźmi, milordzie, że od razu się wie, iż jest prawdziwą damą. A niektórzy goście jaśnie pana, nie

wspominając żadnych nazwisk, zadzierali nosa, jakby mieli do tego jakieś prawa. Aleja nie dam się nabrać, milordzie. Metal zawsze wylezie spod warstewki złota.

Markiza bawiło filozofowanie Hedleya.

— Myślisz, że panna Caterina jest arystokratką? — zapytał.

Był na tyle ostrożny, aby nie wspomnieć przy nikim nazwiska Cateriny, dlatego Hedley i służba znali ją po prostu jako „pannę Caterinę”.

— Panna Caterina jest prawdziwą damą, milordzie — odparł Hedley — bez wątpienia przez urodzenie i z pewnością przez sposób zachowania. Nigdy się w tym nie mylę.

— Nie, oczywiście, że nie — zgodził się markiz. — Zawsze ufam twojemu instynktowi, Hedley. Nie pamiętam, żebyś się kiedyś pomylił.

— Dziękuję za komplement, milordzie — powiedział Hedley z godnością.

Markiz wiedział, że Hedley nie myli się co do Cateriny. Miała ujmujący sposób bycia prosząc raczej niż wydając polecenia, a do załogi zwracała się zarówno bez zbytnej pro-tekcjonalności, jak i bez poufałości. Była to cecha, której pozbawiona była Odette.

Markiza zawsze irytował sposób, w jaki zwracała się do jego służących.

Rankiem następnego dnia, kiedy zbliżali się do południowej części Adriatyku, morze

stawało się coraz bardziej ciemne, a niebo zachmurzone. W ciągu dnia pogoda pogarszała się.

Zrefowano żagle, lecz mimo to statek wciąż ciężko walczył z wiatrem. Podczas kolacji markiz był zatroskany. Tego wieczoru na stole nie było kandelabru, a służący podali szklanki umieszczone w specjalnych pojemnikach nie pozwalających im spaść ze stołu.

— Myślałem, że będę jadł samotnie! — wykrzyknął markiz wszedłszy do salonu.

Caterina uśmiechnęła się.

— Jestem bardzo dobrym żeglarzem, milordzie.

— W takim razie znacznie się pani różni od większości przedstawicielek swojej płci — odparł.

— Bardzo lubię burze—powiedziała Caterina. — Jest w nich coś dzikiego i ekscytującego. Wtedy człowiek czuje, że powinien przyłączyć się do żywiołów w walce nie tylko o wolność ciała, lecz także i o wolność duszy.

— Proszę wytłumaczyć mi, co pani ma na myśli — zażądał markiz.

Zdażył się już przyzwyczać do zagadkowych powiedzeń Cateriny. Lubił patrzeć, jak jej błękitne oczy poważnieją, a na białym czole pojawia się lekka zmarszczka, gdy koncentruje się, szukając najwłaściwszych słów dla wyrażenia swych uczuć.



Po kolacji długo jeszcze rozmawiali, a kiedy w końcu zdecydowali się wrócić do swoich kabin, przejście przez korytarz utrudniało im silne kołysanie statku.

— Mam nadzieję, że jutro będzie spokojniej — rzekł markiz.

Następnego ranka wydawało się, że nadzieje markiza zaczynają się spełniać. Wciąż wiał silny wiatr, lecz morze nieco się uspokoiło i choć nadal pogoda była dość burzliwa, kapitan był spokojniejszy niż poprzedniego wieczoru.

— Zwiało nas na prawo od kursu, milordzie — powiadomił markiza. — Nic na to nie mogłem poradzić. To szczęście, że tak solidnie zbudowano ten jacht. Idę o zakład, że podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin poszło na dno wiele statków.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał markiz. Kapitan rozłożył mapę. Okazało się, że wiatr zepchnął ich z Adriatyku, przez morze Jońskie, dalej na południe.

— Musimy powrócić na kurs, jeśli mamy, jak zamierzałem, przejść przez Cieśninę Mesyńską do Neapolu — stwierdził markiz.

— To prawda, milordzie — zgodził się kapitan Brinton. — Ale niełatwo będzie żeglować dokładnie w tym kierunku, bo ciągle wieje północny wiatr.

— Jest przecież coraz słabszy — rzekł markiz z optymizmem w głosie.

— Wrócimy na kurs przy pierwszym sprzyjającym momencie — obiecał kapitan. — Lecz, zamiast wracać przez Mesynę, łatwiej byłoby popłynąć między Malta i Sycylią.

— Nie mam specjalnej ochoty na ponowne odwiedziny na Malcie — powiedział markiz powoli. — Myślał o tym, że trudno byłoby wytłumaczyć obecność Cateriny na pokładzie wielkiemu mistrzowi Zakonu Świętego Jana, u którego zatrzymał się płynąc do Wenecji.

— Przemyślę to — powiedział z wahaniem. — Proszę mnie zawiadomić, kiedy znów będziemy płynęli na zachód, a wtedy razem obmyślimy nowy kurs.

— Tak jest, milordzie.

Po południu wiatr wiał ciągle z północy i choć kapitan starał się, by zawrócić statek we właściwym kierunku, jego wysiłki nie na wiele się zdały.

Ubrawszy się w długą wełnianą pelerynę, którą znalazła w swojej kabynie, Caterina wyszła na pokład. Ciemny błękit peleryny przypominał kolorem szaty Madonny. Odette nosiła ją w czasie podróży z Anglii. Peleryna świetnie pasowała do ciemnych włosów tancerki, lecz Caterina wyglądała w niej oszłamiająco.

Markiz podszedł do niej.

— Uspokaja się — powiedziała. — Myślę, że pod wieczór może nawet wyrzy słońce.

— Mam nadzieję, że ma pani rację — odparł markiz. — Lecz zniosło nas mocno z kursu, a to znaczy, że nasza podróż będzie o wiele dłuższa niż przewidywałem.

Spostrzegł, że twarz Cateriny rozjaśnia się, a na ustach pojawia się nieznaczny uśmiech. Nagle zrozumiał. Bała się przybycia do Neapolu i pozostania tam. Im dłuższa będzie podróż do Włoch, tym ona będzie szczęśliwsza!

Nic jednak nie powiedziała. Zamiast tego spojrzała na horyzont.

— Widzę statek! — wykrzyknęła.

— To prawda — zawtórował jej markiz. Znad Unii horyzontu wyłaniał się zarys dużego dwumasztowca. Zostawiwszy Caterinę samą, markiz poszedł porozumieć się z kapitanem.

— Naprzeciw nas płynie statek, kapitanie.

— Zauważyłem go, milordzie — odparł nieco chmurnie kapitan patrząc przez lunetę. — Duży szkuner — zauważył. — Znacznie większy niż nasz, milordzie, ale jest zbyt daleko, żeby dostrzec flagę.

— Z pewnością nie obawia się pan niczego, kapitanie? — zapytał markiz.

— Zboczyliśmy z kursu, milordzie, i na mój gust jesteśmy zbyt blisko tych diabelskich rabusiów.

— Mam nadzieję, że niepokoi się pan na zapas — odparł markiz i wrócił do Cateriny.

- Wydaje się, że zbliżamy się do tego statku — zauważyła.
- Lub raczej on zbliża się do nas — powiedział markiz. — Kapitan jest trochę zaniepokojony.
- Zaniepokojony? Markiz nie odpowiedział.
- Nie myśli pan chyba... że mógłby to być statek barbarzyńskich piratów?
- Nie, oczywiście, że nie — odparł. Jednakże w jego głosie było coś, co sprawiło, że Caterina szybko na niego spojrzała.
- Będąc w Wenecji, wiele o nich słyszałam — wyjaśniła. — A podczas podróży z Anglii, oficerowie i pasażerowie mówili niemal tylko o piratach.
- Nie ma potrzeby przedwcześnie się bać — odparł markiz uspokajająco. — Ich potęga osłabła znacznie od ostatniego stulecia, a wszystkie kraje europejskie zawarły z nimi traktaty pozwalające na spokojne poruszanie się po basenie Morza Śródziemnego.
- Powiedziano mi jednak, że piraci zawsze łamią te traktaty, napadają na statki chrześcijan, grabią je i biorą w niewolę załogi i pasażerów.
- Głos Cateriny drżał ze strachu.
- To są wymyślone historie — odparł. — Ten statek z pewnością nam nie zagraża.

— Czy nie moglibyśmy przed nim uciec? — zapytała Caterina.

— Właśnie próbujemy to zrobić — odparł krótko markiz i znów odszedł, aby porozmawiać z kapitanem.

## **Rozdział 6**

Capitan zmienił kurs i przez moment wydawało się Caterinie, że zbliżający się do nich statek będzie żeglował dalej na północ. Potem spostrzegła, że i on zmienił kierunek.

Markiz powrócił do niej.

— Proszę zejść na dół — polecił cicho — wyjąć ze schowka całą biżuterię oprócz Korony Narzeczonej. Proszę ukryć to wszystko przy sobie.

Po tonie głosu Caterina zorientowała się, że był to rozkaz, więc bez dalszych pytań pobiegła do kabiny i zrobiła, co jej kazał.

Klejnoty były twarde i uwierały ciało, lecz wiedziała, że markiz nie prosiłby o ich ukrycie, gdyby nie miał ku temu powodów. Zamknęła schowek i pospieszyła na pokład.

Na płynącym za nimi statku łatwo było już dostrzec powiewającą holenderską flagę! Na

pokładzie krzatali się nieliczni marynarze. Zdawało się, że pracują przy linach, poprawiają żagle i wykonują zwykłe marynarskie czynności.

Caterina zdała sobie sprawę, że markiz jest zdenerwowany, a kapitan nie odrywa lunety od oka.

Znów zmienili kurs, opuścili też więcej żagli, lecz obcy statek wciąż się do nich przybliżał. Kiedy był zaledwie na odległość strzału z muszkietu, holenderska flaga zniknęła. Na masztach i rufie jednocześnie pojawiły się barwne flagi z półksiężycami, skrzyżowanymi mieczami i innymi symbolami.

Spod pokładu wybiegli żołnierze uzbrojeni w muszkiety, które wycelowali w kierunku „Jastrzębia Morskiego”.

Caterina spostrzegła, że wrogi statek był również wyposażony w armaty. Kiedy żołnierze złożyli się do strzału, nagle rozległ się okrzyk: *Meno pero! Meno pero!*, co znaczyło „poddajcie się, psy!” i było tradycyjnym okrzykiem muzułmanów podczas atakowania innego statku.

— Musimy się poddać — usłyszeli głos markiza. — Nie próbujcie walczyć. Mamy zbyt małe szanse. Ale przysięgam, że każdy z was zostanie wykupiony.

Wśród marynarzy zgromadzonych na pokładzie „Jastrzębia Morskiego” rozległ się pomruk wdzięczności, lecz po twarzach można

było poznać, jak wiele wysiłku kosztowało ich uniesienie nad głowę rąk, bez próby przeciwstawienia się wrogowi.

Marynarze w turbanach, z zakrzywionymi szablami w rękach, mieli już przygotowane żelazne haki, które rzucili w kierunku jachtu i zaczepili o jego burtę. Błyskawicznie wskoczyli na pokład.

Był między nimi oficer, w którym Caterina domyśliła się przywódcy, agi tych janczarów, którzy tworzyli potęgę floty muzułmańskiej.

— Janczarzy—powiedział jej ktoś podczas podróży do Wenecji — rekrutują się z krajów Lewantu i zazwyczaj mówią po francusku.

Markiz musiał o tym wiedzieć, gdyż widząc zbliżającego się agę — w powiewającym, długim płaszczu, w kapeluszu ozdobionym piórami i z przypasanym mieczem — odezwał się do niego po francusku:

— Jesteśmy Brytyjczykami, monsieur, a jak mi wiadomo, nasze kraje zawarły między sobą traktat.

— Traktat ten— odparł janczar w tym samym języku —dotyczy statków handlowych. Jeśli się nie mylę, to jest jacht prywatny.

To prawda —powiedział markiz — lecz mimo to, uważam, że wchodząc na mój pokład, pogwałciliście nasze prawa do żeglowania po basenie śródziemnomorskim.



— Nie macie żadnych praw — uciął janczar — wszyscy możecie się uważać za moich więźniów.

Caterina wstrzymała oddech, ale markiz pozostał spokojny.

— Jestem arystokratą, nazywam się markiz Melford — powiedział opanowanym głosem — i jestem człowiekiem niezwykle zamożnym.

Na twarzy janczara ukazał się nikły uśmiech.

— To nader niezwykle, monsieur — rzekł — że ktoś w tej grze przyznaje się do bogactwa.

— Mówię prawdę—odparł markiz—i zamierzam zapłacić każdy okup, jaki ze mnie zedrzą, nie tylko za siebie i moją żonę, lecz także za moich ludzi. Dlatego mogę was tylko prosić, abyście dobrze ich traktowali. — Janczar nie odpowiedział. — W mojej kabinie ukryta jest tajna skrytka — powiedział markiz tak cicho, że mogli go usłyszeć jedynie Caterina i janczar. — Bardzo trudno ją znaleźć. Jest w niej ogromna suma pieniędzy. Sądzę, że jeśli weźmie pan połowę, zanim wasz kapitan przyjdzie na pokład, nikt nie domyśli się niczego.

Janczar nie wykonał żadnego ruchu, lecz Caterina dojrzała błysk chciwości w jego oczach.

— Dlaczego mi to proponujesz, monsieur? — zapytał po chwili.

— W zamian proszę tylko o to, abyśmy ja i moja żona mogli pozostać na jachcie, gdziekolwiek nas zabierzecie.

Oczy janczara zwrócone były ku Caterinie. Przyglądał się jej badawczo.

— Jest pan mądry — powiedział. — Zgadza się, ale musimy się pośpieszyć. — Markiz skierował się ku kabinom, a janczar spojrzął na innego oficera, prawdopodobnie swojego zastępcę. — Chcę przejrzeć dokumenty tego więźnia. Nie wpuszczaj nikogo na pokład, póki nie wydam rozkazu — zwrócił się do niego i nie czekając na odpowiedź podążył za markizem i Cateriną na dół. Markiz wszedł do kabiny i otworzył skrytkę. Caterina ujrzała stos pieniędzy. Janczar szybko napchał sobie kieszenie banknotami i złotem, zostawiając w skrytce jeszcze sporą ich część. — Zamknij — rzekł krótko — a kiedy kapitan zapyta o skrytkę, pokaż mu ją bardzo niechętnie.

— Zrobię tak — odparł markiz. — A więc, monsieur, czy mam pańskie słowo, że moja żona i ja pozostaniemy na pokładzie jachtu, póki nie dopłyniemy do portu?

— Postaram się o to — powiedział janczar — lecz oczywiście będziecie pilnowani. Nie mogą sobie pozwolić na utratę tak cennej zdobyczy. — W jego głosie brzmiało szyderstwo, które napełniło Caterinę odrazą. Potem janczar gwałtownie otworzył drzwi i wyszedł

krzycząc: — Zdobycz! Wielka zdobycz! Poszcęściło się nam! Niech wyznawcy prawdziwej wiary wejdą na pokład!

Caterina spojrzała na markiza.

— Czy oni... — odezwała się, po czym dokończyła szeptem — zrobią nam coś złego?

— Nie . fizycznie, jak sędzę — odpowiedział. — Żywi jesteśmy dla nich cenniejsi, ale więzienie muzułmańskie nie jest specjalnie przyjemnym miejscem, jeśli można tak to ująć.

— Kiedy... zostaniemy wykupieni? — zapytała Caterina nerwowo.

Zanim markiz zdołał odpowiedzieć, rozległ się krzyk, który uniemożliwił im rozmowę.

Kilku przerażających ludzi z wielkimi nożami przytroczonymi do pasów zbiegło na dół.

Wyglądali tak groźnie, że Caterina instynktownie przysunęła się do markiza i chwyciła go za ramię.

— W porządku — uspokoił ją. — Nie wejdą tu. Kabina właściciela jest zawsze zarezerwowana dla ich kapitana.

Caterina zobaczyła, że piraci wpadają do jej kabiny, a potem wybiegają obładowani sukniami należącymi do Odette, stoliczkami, krzesłami, materacami i narzutami z łóżka... zabrali nawet dywan z podłogi.

Markiz i Caterina przyglądali się temu oszołomieni przez otwarte drzwi kabiny, gdy pojawił się człowiek, który prawdopodobnie był ich

kapitanem. Wszedł do kabiny, wyższy i bardziej dziki niż pozostali piraci. Poznali, że był Turkiem.

— Janczar twierdzi, że jesteś arystokratą — powiedział szorstko do markiza. Mówił po francusku źle, miał fatalny akcent.

— To prawda — odparł markiz.

— I jesteś bogaty?

— Tak.

— Więc dostaniemy za ciebie dużo pieniędzy.

— Spodziewam się, że okup nadejdzie — markiz mówił bezosobowo, jakby chodziło o jakąś umowę handlową.

— Tak będzie! — stwierdził kapitan. — A wszystko, co znajduje się w twojej kabynie, odtąd należy do mnie, tak samo pieniądze, które chowasz przy sobie albo gdzieś tutaj.

— Zawsze myślałem — rzekł markiz — że, zgodnie z Koranem, piąta część należy do Allacha.

Kapitan spojrział na niego przymrużonymi oczami.

— To moja sprawa! — warknął. — Pokażesz mi dobrowolnie, gdzie trzymasz kosztowności, czy mam cię do tego zmusić torturami?

— Nie ma potrzeby mnie torturować — odparł markiz — jednakże nie chciałbym, aby ktokolwiek został pozbawiony, na przykład,

części łupu, który powinien zostać przeznaczony na utrzymanie portu i oczywiście beja. Kapitan obrzucił markiza przeszywającym spojrzeniem. Caterina pomyślała, że był zakłopotany tym, iż chrześcijanin tak dużo wie o zasadach zorganizowanej grabieży.

— Oddaj mi swoje kosztowności! — wrzasnął agresywnie, jakby w ten sposób chciał zachować twarz. — Na początek wezmę twój zegarek. — Markiz wyciągnął z kieszonki zegarek z łańcuszkiem i wręczył go kapitanowi. Jednocześnie, jakby przypadkowo, choć Caterina była pewna, że zrobił to celowo, upuścił mały złoty kluczyk od schowka. — Co to? — zapytał kapitan. — Markiz podniósł go wolno. — Pokaż mi twoje pieniądze, psie! — ryknął kapitan. — Bez słowa markiz podszedł do ściany, zwolnił ukrytą sprężynę i otworzył schowek. Tak jak poprzednio janczar, teraz kapitan zaczął napychać kieszenie banknotami. Nie skończył, póki nie opróżnił schowka. Spojrzał na markiza. — Daj mi swoją sakiewkę i ten pierścień, który masz na palcu — powiedział.

Markiz zdjął złoty sygnet, a z kieszeni surduta wyciągnął kilka suwerenów.

— To wszystko, co mam przy sobie — powiedział spokojnie.

Przez chwilę Caterina myślała z przerażeniem, że kapitan będzie chciał przeszukać markiza. Lecz gdy spotkały się spojrzenia obu

mężczyzn, zdawało się, że wyniosły spokój markiza zatriirafował. Kapitan rozejrzał się po kabinie.

— To wszystko należy do mnie — oświadczył głośno.

Markiz nie odpowiedział. W tym momencie, jak gdyby wyczuwając najlepszą chwilę, w drzwiach stanął janczar.

— Ten mężczyzna i ta kobieta są cenni — zwrócił się do kapitana — dlatego zdecydowałem, że będą podróżować na jachcie, a nie, jak zwykle, na twoim statku. Oczywiście zostawię tu strażnika, aby nie wyskoczyli do morza.

— Dopilnuj tego — odparł kapitan. — To mały statek i nie ma tu zbyt wielu cennych rzeczy.

— Niewiele pieniędzy? — spytał janczar tonem pozornie niedbałym.

Kapitan potrząsnął głową.

— Bardzo mało — odparł.

Kiedy kapitan odszedł, janczar zwrócił się do markiza.

— Do Tunisu dotrzemy najwcześniej jutro — rzekł. — Na ten czas przyślę tu strażnika, a wam nie będzie wolno wychodzić z tej kabiny.

— Proszę mu przypomnieć, że wolno nam pójść do łazienki.

— Łazienka? — zdziwił się janczar. — To coś nowego! — Przeszedł przez kabinę i otworzył drzwi. Przyjrząwszy się łazience przez chwi-

łę, zaśmiał się. — Anglicy zawsze byli przesadni, jeśli chodzi o mycie! — zawołał. — A to rujnuje zdrowie!

Roześmiał się szyderczo i wyszedł z kabiny, aby za chwilę powrócić z żołnierzem.

Przemówił do niego po arabsku, tak że Caterina nie zrozumiała ani słowa.

Żołnierz wyglądał na gbura. W odpowiedzi kiwnął janczarowi głową na znak, że zrozumiał rozkazy. Kiedy jego przełożony wyszedł, żołnierz przyglądał się markizowi i Caterinie w sposób, który wzbudził jej obawę. Potem, wciąż bez słowa, usiadł na podłodze w otwartych drzwiach, skrzyżował nogi i wyciągnął długą fajkę.

— Chyba nie będzie nam przeszkadzał — powiedział markiz spokojnie.

— Czy on ma zamiar siedzieć tu przez cały czas? — spytała Caterina.

— Mamy szczęście, że nie musimy płynąć na statku piratów — odparł markiz. — Więźniowie, prawie nadzy, są stłoczeni jak owce, wielu umiera z gorąca, zwykle też zaczyna szerzyć się ospa.

— Nadzy! — wykrzyknęła Caterina z przerażeniem. — Czy piraci kradną im ubrania?

— Wszystko, co posiadają! Zwykle też więźniów wiesza się za pięty i potrząsa nimi, aby sprawdzić, czy nie połknęli pieniędzy, chcąc ukryć je przed grabieżą.

— To bestialstwo!

— To słowo dokładnie opisuje barbarzyńskich piratów — stwierdził markiz gorzko. — Mordują, grabią, torturują i mszczą, a handlowe mocarstwa świata, takie jak Anglia, Holandia i Francja, zamiast zjednoczyć się przeciw nim, płacą tym rabusiom za swoje bezpieczeństwo! W ten sposób te niegodziwości wciąż się ciągną.

— Czy nikt się im nie przeciwstawia? — zapytała Caterina.

— Zakon Świętego Jana z Malty prowadzi z nimi wojnę od niepamiętnych czasów. Przechwytyją muzułmańskie statki, bombardują ich porty, lecz nie są dość silni, aby rzucić tych łotrów na kolana.

— Więc nikt nas nie uratuje — wyszeptała rozpaczliwie Caterina.

— Tylko pieniądze mogą to zrobić — rzekł markiz chmurnie.

Caterina usiadła na łóżku.

— Dokąd... nas zabierają? — spytała.

— Do Tunisu — odparł markiz. — Tam sprzedadzą naszą załogę jako niewolników.

— Niewolników? — powtórzyła Caterina.

— W rękach tych barbarzyńców znajduje się tysiące chrześcijańskich niewolników.

— A co się stanie z panem... i ze mną? — spytała.

— Mam nadzieję, że teraz sprawy mają się lepiej niż to było kiedyś — odparł wolno mar-



kiz, a Caterina wiedziała, że starannie dobierał słowa. —Wiem, że obecnie w Algierze, Tunisie i Trypolisie są konsulowie różnych krajów, a to są najważniejsze dla piratów miasta.

— Czy ci konsulowie mają jakąkolwiek władzę? — zapytała Caterina.

— Bardzo niewielką, jak sądzę — rzekł markiz. — Jeszcze rok temu mówił o tym minister spraw zagranicznych; skarżył się na to, jak trudna jest praca angielskiego konsula i jak poniżani są przez bejów czy paszów, zwykle niepiśmiennych Maurów, których jedynym celem jest wyłudzenie pieniędzy od chrześcijan.

— Poprzez branie okupów? — spytała Caterina.

— I oczywiście przez sprzedaż statków i ich towarów — odparł markiz. — Caterina westchnęła głęboko. — Proszę się nie bać — powiedział łagodnie. — Wie pani, że będę jej bronił w każdy możliwy sposób.

— Powiedziałeś, panie, janczarowi... że jestem twoją żoną — rzekła Caterina.

— Miałem ku temu powód — odparł markiz. — Caterina spodziewała się, że otrzyma dalsze wyjaśnienia. — Kobiety płynące zdobytym statkiem prawie zawsze traktowane są dobrze — powiedział tylko. — Muzułmanie szanują kobiety, a człowiek, który spróbowałby obrazić kobietę, naraziłby się na bastonadę, czyli chłostę pięt. Zapewne zauważyła pani, że

nie prosili ciebie o oddanie kosztowności, które mogła pani mieć schowane przy sobie.

— Zastanawiałam się nad tym — potwierdziła Caterina. — Jaka szkoda, że nie dał mi pan swoich pieniędzy do przechowania.

— Pani biżuteria wystarczy nam, jeśli jej nie odbiorą — odparł markiz. — Kiedy ostatnio otrzymałem wiadomości o piratach, nie dowiadywałem się o to, jak traktują kobiety. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w takiej sytuacji mogę mieć na pokładzie kobietę.

— Ten janczar był uprzejmy — zauważyła myśląc z wdzięcznością o tym, że wciąż są na jachcie.

— Na szczęście był przekupny! — stwierdził markiz.

— Musi pochodzić z wyższej klasy niż reszta!

— Jak sądzę, młodzi Turcy z Lewantu marzą o tym, aby zostać janczarami u barbarzyńców

— rzekł markiz. — Wolno im żenić się z córkami arystokracji, mają wielką władzę i mieszkają w wygodnych domach, dysponując setkami chrześcijańskich niewolników.

— Jaka część łupu im przypada?—zapytała Caterina.

— Tylko półtora procent — odparł markiz. — Dlatego właśnie zaproponowałem mu pieniądze. Pięć procent dla Allacha, a resztą dzielą się po połowie załoga i właściciele statku

pirackiego. Zdobyty statek powinien przypaść państwu.

— A kabina właściciela kapitanowi — dodała Caterina.

— Właśnie! Większość zdobyczy dzieli się dość sprawiedliwie na pokładzie. Tak właśnie stało się z wyposażeniem pani kabiny.

Caterina westchnęła.

— Na szczęście mam bardzo niewiele. — Markiz nie odpowiedział. Ona była bardziej przerażona niż to okazywała. — Mamy być zamknięci razem z naszym strażnikiem ponad dwadzieścia cztery godziny — powiedziała z trudem. — Przypuszczam, że ma pan tu talie kart?

— Kart? — powtórzył zaskoczony markiz, jakby pierwszy raz słyszał to słowo.

Caterina uśmiechnęła się do niego.

— Sądzę, że nic nie zyskamy wyobrażając sobie, co może się stać, kiedy dotrzemy na miejsce naszego przeznaczenia — powiedziała. — Chciałabym zapytać o wiele rzeczy, lecz myślę, że w tej chwili powinniśmy zająć się czymś innym, na przykład grą w pikietę lub w coś innego. Ojciec nauczył mnie większości z nich.

Markiz patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem roześmiał się.

— Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety tak zaskakującej — stwierdził — jak nie z tego świata. Przecież w tej chwili powinna pani szlochać w moich ramionach.

— Właśnie to najchętniej bym robiła — wyznała Caterina — lecz to byłoby raczej...  
krepujące... przy publiczności.

Mówiąc to, spojrzała przelotnie na żołnierza palącego cuchnącą fajkę.

— Obawiam się, że zanim dotrzemy do Tunisu, będziemy mieli serdecznie dość zapachu tytoniu — zauważył markiz.

— Również tak sędzę — zgodziła się Caterina — ale przecież nie możemy mu powiedzieć, że to niegrzecznie palić w obecności damy!

Markiz znów się roześmiał. Podszedł do sekretarzyka i otworzył szufladę.

— Pewien jestem, że gdzieś tu miałem jakąś talię — powiedział. W końcu znalazł karty na dnie dolnej szuflady. — Mamy szczęście, że Hedley nie położył kart w salonie — stwierdził. — Czy przypadkiem gra pani może w szachy?

— Oczywiście — odparła Caterina. — Dlaczego?

— Ponieważ właśnie mi się przypomniało, że w Wenecji kupiłem nowy komplet — rzekł markiz. — Podszedł do malowanej szafy i wyjął z niej wielkie pudło. Odwinął papier i Caterina zobaczyła kasetkę z przepięknie tłoczonej zielonej skóry. Kiedy markiz otworzył ją, ukazały się bardzo stare figury wyrzeźbione z kości słoniowej. — Zobaczyłem je w jednym ze sklepów — wyjaśnił markiz — i nie potrafiłem im się oprzeć.

— Są po prostu piękne! — wykrzyknęła Caterina — lecz nie mogę uwierzyć, że zamierzał pan podarować je... któreś ze swoich przyjaciółek.

— Rzeczywiście, nie — przyznał markiz. — Kupiłem je dla jednego z przyjaciół polityków. Często gramy razem i wiedziałem, że spodobają mu się tak wspaniale rzeźbione figury.

— Interesuje się pan polityką? — zapytała Caterina.

— Bardzo — odparł markiz.

— W takim razie dziwi mnie — powiedziała — że wybrał się pan poradzić Wenecjanom, aby uzbroili się na wypadek ewentualnej inwazji Francji na Austrię, a nie pomyślał o tym, co w takim wypadku stałoby się z Anglią.

— Co by się stało? — zaciekawiał się markiz.

— Gdyby na kontynencie wybuchła wojna na wielką skalę — wyjaśniła Caterina — pewna jestem, że prędzej czy później Wielka Brytania zostałaby w nią wplątana! A przecież jesteśmy tak samo nie przygotowani do walki jak Wenec-janie. Nasze statki — ciągnęła — powinny zostać wyremontowane i unowocześnione, mamy bardzo małą armię, a nasi żołnierze niezmiennie narzekają na opóźnienia w wypłacaniu żołdu i na warunki, w jakich muszą służyć.

— Skąd pani to wszystko wie? — zapytał markiz.

— Słuchałam ludzi, którzy się na tym znają, debat w Izbie Gmin i czytałam gazety.

— Zdziwiała mnie pani — wyznał markiz. — Ale rzeczywiście, wszystko, co pani powiedziała, jest prawdą! Powinniśmy się zbroić. Raporty z Europy są, jak przyznał pan Pitt, złowieszcze.

— A pan? Czy próbuje pan pomóc? — zaciekawiała się Caterina.

— W jaki sposób? — chciał wiedzieć markiz.

— Jak sądzę, posiada pan wiele ziemi — powiedziała. — Gdyby wybuchła wojna lub gdyby ustawiono blokady wzdłuż naszych wybrzeży, potrzebowalibyśmy więcej żywności niż obecnie dostarczają farmerzy.

Markiza tak zainteresowało to, co Caterina miała do powiedzenia, że zupełnie zapomniał o szachach. Jeszcze ponad dwie godziny dyskutowali o sytuacji międzynarodowej, zanim rozłożyli szachy i zaczęli grać.

Minęło popołudnie i oboje zgłodnieli. Nie mając zegarka, markiz zgadywał, że musiała zbliżyć się siódma.

— Chyba mają zamiar nas karmić? — spytała Caterina.

— Nie mam pojęcia — odparł.

W tym czasie zmienili się wartownicy. Ich nowy strażnik nie palił, lecz żuł czosnek i miał nieprzyjemny zwyczaj spluwania.

Było już prawie ciemno, kiedy brudny marynarz przyniósł im dwa kawałki chleba. Wyglądały jak wielkie płaskie naleśniki. Wręczywszy jeden markizowi, przyglądała się podejrzliwie swojemu.

— Jest dość smaczny i bardzo sycący — rzekł markiz. — Mądrze będzie zjeść trochę, jeśli potrafi pani zapomnieć, jakie ręce go piekły i jak został tu dostarczony.

— Jestem zbyt głodna, żeby wybrzydzać — odparła Caterina. — Nie mogę przestać myśleć o kolacji, jaką mógłby przyrządzić pana kucharz, gdyby nie uwieziono go na statku piratów. — Markiz nie odpowiedział. — Czy będziemy udawać — ciągnęła — że jest to poledwica cieleca z sosem, winem i grzybami, czy też wasza lordowska mość wolałby młodego gołąbka nadziewanego drobiowymi wątróbkami?

— Sprawia pani, że jestem coraz bardziej głodny — zaprotestował.

— Proszę zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że je pan co innego — zasugerowała Caterina.

— Łatwiej będzie przełknąć ten wilgotny chleb.

Mówiąc to, przeszła do łazienki. Nalała wody do dwóch szklanek i jedną podała markizowi.

— Szampana, milordzie, czy też dziś wieczór pije pan claret — zapytała.

Uśmiechnął się i wziął od niej szklanę.

— Obawiam się, że wiele czasu upłynie, zanim znów posmakujemy wina — powiedział.

— Jak pani wie, prorok Mahomet zabronił muzułmanom picia alkoholu.

Zrobiło się zupełnie ciemno, kiedy kończyli kolejną partię szachów.

— Powinna się pani położyć i przespać trochę — powiedział markiz. — Mam nadzieję, że nie będzie pani zbyt zakłopotana, jeśli położę się obok. Jest tu co prawda krzesło, ale byłoby to przysparzaniem sobie niepotrzebnych niewygód, gdybym musiał spędzić w nim noc.

— Oczywiście! — przytaknęła Caterina. — Oboje musimy wypocząć najlepiej jak to jest możliwe. A przecież i tak nie mogę się rozebrać, kiedy ten człowiek jest w pokoju — spojrzała z zakłopotaniem na spluwającego żołnierza.

— Proszę się umyć — zasugerował markiz. — Zdejmę surdut i włożę szlafrok. Mam też zamiar zdjąć buty.

— To bardzo rozsądne — zgodziła się Caterina. — Ale niestety, nie mam nic, co mogłabym włożyć na noc.

W łazience zdjęła jednak suknię, umyła się i włożywszy ją ponownie wróciła do kabiny. Panował w niej półmrok. Caterina zdołała dostrzec odwiniętą ciemnoczerwoną narzutę na łóżku i markiza w długim brokatowym szlafroku. Położyła się obok opierając głowę o lniąną poduszkę z wyszytym monogramem.



— Czy pozostaniemy bez światła przez całą noc? — zapytała lekko drżącym głosem. Zanim skończyła mówić, na korytarzu rozległy się kroki, drzwi otworzyły się i do kabiny wsunięto małą latarnię.

Markiz leżał po drugiej stronie łóżka. Jakie to dziwne, pomyślała Caterina, leżymy obok siebie, jesteśmy więźniami najokrutniejszych na świecie piratów, a mimo to wciąż prowadzimy zwykłe rozmowy i zachowujemy się tak oficjalnie, jakbyśmy byli sobie zupełnie obcy!

Nagle opanowało ją pragnienie, aby odwrócić się i oprzeć głowę na ramieniu markiza. Przypomniała sobie, jak pocałował ją tamtej karnawałowej nocy. Później nie okazał jej żadnego uczucia. Z początku był nawet rozgniewany. Teraz zachowywał się uprzejmie i taktownie. Być może, pomyślała, kiedy zobaczył mnie bez maski, uznał, że nie jestem atrakcyjna.

— Dlaczego miałabym mu się podobać? — zapytała samą siebie, myśląc z niechęcią o swoich błękitnych oczach i drobnej postaci.

Kocham go, pomyślała leżąc w ciemnościach. Czuła ciało markiza zaledwie o kilka centymetrów od siebie. Jego szerokie barki zdawały się zajmować więcej miejsca niż przypadająca na niego część łóżka.

— Cokolwiek się stanie — powiedziała sobie Caterina — muszę zachowywać się z godnością. Muszę pamiętać, że ludzi szlachetnie

urodzonych palono na stosach bez słowa skargi z ich strony, cierpieli najgorsze tortury nie zdradzając przyjaciół, umierali raczej niż sprzeniewierzali się swojej wierze.

— Dobrze się pani czuje? — Głos markiza przestraszył ją. Zanim zdążyła odpowiedzieć, poczuła, że ręka markiza przykrywa jej dłoń. — Nie mogę znieść myśli, że to z mojej winy znalazła się pani w tak niebezpiecznej sytuacji — powiedział spokojnie.

— Z pana winy? — powtórzyła zaskoczona, starając się, aby nie wyczuł w jej głosie napięcia, jakie wywołał dotyk jego ręki.

— Gdybym zabrał panią do Wenecji, jak z początku zamierzałem — odparł markiz — byłaby pani teraz bezpieczna w pałacu dziadka.

— Nie sędzę, aby mi pan... uwierzył — powiedziała Caterina — ale... o wiele bardziej wolę... być tu.

## Rozdział 7

Wchodzimy do portu — powiedział markiz wyglądając przez bulaj.

Caterina poczuła dreszcz niepokoju. Rozglądając się po kabinie, pomyślała, że pomimo obecności strażnika, było tu bezpiecznie jak w niebie. Wszystko, co słyszała na temat *bagno*, czyli więzień barbarzyńskich piratów, przypomniało się jej z taką siłą, że chciała krzyknąć. Wiedziała jednak, że musi być dzielna!

— Zamierzam dziś — rzekł markiz — spisać nazwiska wszystkich członków mojej załogi razem z opisem ich umiejętności. Kiedy przyślę okup, nie będzie żadnych trudności z ich uwolnieniem. — Usiadł przy biurku. — Kłopot w tym — ciągnął — że barbarzyńcom brakuje dobrych marynarzy, więc użyją wszelkich możliwych sztuczek, a nawet uciekną się do przemocy, aby ich zatrzymać i zmusić do pomocy przy

szyciu żagli lub budowie okrętów. — Spisał listę i zwrócił się ku Caterinie. — Może przechowałaby ją pani dla mnie? — powiedział na pozór obojętnie, choć Caterina wiedziała, że miał na myśli ukrycie listy razem z kosztownościami.

Potem grali w szachy i karty, broniąc się w ten sposób przed myśleniem o przyszłości. A teraz byli w porcie i Caterina siłą powstrzymywała się, aby nie podbiec do markiza i przytulić się do niego. Ukryła nagły strach przed tym, że mogliby zostać rozdzieleni.

— Jest pani bardzo dzielna, Caterino — powiedział cicho, a gdy podała mu dłoń, podniósł ją do ust.

Nagle rozległ się strzał, potem drugi, a w końcu usłyszeli serie strzałów z wielu muszkietów.

Caterina była przerażona.

— Co się dzieje...? — zapytała.

— Wszystko w porządku — odparł markiz. — Kiedy piraci przybywają z łupem do portu, ogłaszają wszem i wobec, że odnieśli sukces!

Odgłos strzałów zamarł. Teraz słyhać było głosy wykrzykujące rozkazy, dźwięk spuszcanych żagli, a w końcu przycumowano jacht do nabrzeża. Wciąż słyszeli nad głowami szmer rozmów, póki nie otworzyły się drzwi kabiny. Stał w nich janczar.

— Zabieram was na brzeg — zwrócił się do markiza po francusku.

— Jesteśmy gotowi — odparł markiz.

W tym momencie przerwano im. Odpychając janczara, do kabiny wpadł kapitan.

— Nie zejdzicie na brzeg, dopóki nie zobaczę, co mi ukradliście! — wrzasnął. — Opróżnij kieszenie i zdejmij surdut!

Markiz wahał się tylko przez chwilę, zanim wolno zdjął doskonale skrojony błękitny surdut i podał go kapitanowi. Ten brudnymi rękoma przeszukał wewnętrzne kieszenie i rzucił surdut na łóżko. Obejrzał dokładnie markiza, nim uświadomił sobie, że w ściśle przylegających pantalonach nie ma on żadnych kieszeni.

— Zadowolony? — prychnął szyderczo janczar.

— Nie można ufać tym chrześcijańskim psom — odparł kapitan.

— Przyznał się, że jest bogaty — przypomniał mu janczar.

— W porządku — powiedział kapitan niechętnie. — Możesz ich zabrać.

Markiz wydągnął rękę po leżący na łóżku surdut.

— Obejdiesz się bez niego — warknął kapitan zabierając równocześnie pelerynę, którą Caterina trzymała w ręce. Nie było sensu się spierać. Janczar machnął ręką i podążył za nimi na pokład.

Wcześniej markiz uprzedził Caterinę, że łupy z jachtu, za wyjątkiem wyposażenia kabiny właściciela, ułożono pod masztem i rozdzielono między załogę. Nie spodziewała się, że będzie tego aż tyle. Dostrzegła suknie Odette, meble i poduszki z salonu, materace i koce z jej kabiny, obrazy, talerze, hamaki załogi, nawet półmiski i garnki z kuchni.

Nie było jednak czasu na przyglądanie się łupom. Skierowała wzrok ku portowi i statkom przycumowanym na nabrzeżu lub kołyszącym się na kotwicach. Spostrzegła też łódź płynącą ku brzegowi, a w niej ludzi, których rozpoznała. Stali podtrzymując się wzajemnie przed wypadnięciem za burtę. Wszyscy byli nadzy do pasa.

Markiz również ich zauważył. Zaciśnięte wargi i kwadratowy podbródek mówiły wyraźnie, co czuł. Nie mogli nic zrobić, tylko zejść na molo eskortowani przez dwóch strażników i podążającego za nimi janczara.

Szli przez jakiś czas, aż dotarli do miejsca, które Caterina natychmiast rozpoznała. To musiało być *bagno*. Doszli do wysokiego kamiennego muru. W jego centrum znajdowały się podwójne ciężkie drzwi, wzmocnione wielkimi miedzianymi ćwiekami. Były otwarte, strzegło ich dwóch żołnierzy. W środku rozciągał się podłużny dziedziniec, ku zdumieniu Cateriny otoczony straganami. Stało też wiele stołów,

przy których siedzieli żołnierze i marynarze. Wszyscy palili i pili coś, co wyglądało na wino.

Markiz powiedział, że muzułmanie nie piją alkoholu, lecz Caterina przypomniała sobie, że żeglarze pochodzili z wielu różnych krajów.

Przy końcu dziedzińca, naprzeciw głównego wejścia, stał wielki budynek. Caterina domyśliła się, że to więzienie.

Prowadziło do niego troje drzwi. Janczar skierował się do tych z lewej strony. Weszli do środka wąskim przejściem. Pomieszczenie oświetlała latarnia zawieszona u niskiego sufitu. Cuchnęło starością, wilgocią i czymś, co Caterina określiła jako strach.

Zeszli po kamiennych stopniach i znaleźli się w długim, wyłożonym kamieniem korytarzu.

Po obu jego stronach znajdowały się lochy.

Przed nimi pojawił się brudny obdarty człowiek z wielkim kluczem zawieszonym u pasa. Janczar wydał mu po arabsku rozkaz, a ten otworzył pierwsze z brzegu drzwi.

— Zostaniecie tu dzisiejszej nocy — oświadczył janczar, a jego głos wydawał się nienaturalnie głośny. Od kamiennych ścian odbiło się złowieszcze echo. — Jutro zabiorę was do beja, któremu wyjaśnicie swoją sytuację. Bej ustali wysokość okupu.

— Rozumiem — rzekł markiz spokojnie — i dziękuję, monsieur, za pańską uprzej-

mość. Zdaję sobie sprawę, że nasza podróż tutaj mogła być znacznie bardziej niewygodna.  
— Mam nadzieję, że wasz okup nadejdzie szybko, milordzie — odparł grzecznie janczar, po czym odwrócił się i wyszedł.

Celę oświetlała latarnia, dająca akurat tyle światła, aby mogli dojrzeć przy jednej ze ścian drewnianą pryczę. Był to jedyny mebel w tym pomieszczeniu.

Cela nie miała okna i Caterina pomyślała, że latarnia niedługo zgaśnie. Usiadła na pryczy. W szeroko otwartych oczach i na bladej twarzy malowało się przerażenie. Markiz podszedł do drzwi, wyglądając przez okratowany otwór, póki nie usłyszał wracającego dozorca.

— Mówisz po francusku? — zapytał markiz.

— O czym chcesz rozmawiać? — odparł gburowato dozorca w tym samym języku.

— Pieniądze są zawsze interesującym tematem rozmów — powiedział markiz.

— Zostało ci jeszcze coś? — zainteresował się dozorca.

— Zapłacę za wszystko, co dla mnie zrobisz — rzekł markiz. — Czy możesz sprowadzić jednego z ojców redemptorystów, którzy, jak rozumiem, pomagają więźniom?

— Co mi dasz, jeśli go sprowadzę? — zapytał strażnik.

— Diament — odparł markiz.



— Mówisz prawdę? — nie dowierzał dozorca.

— Mówię prawdę.

— Więc sprowadzę ci zakonnika — powiedział strażnik. — Ale jeśli mnie oszukujesz... pożałujesz tego.

— Dostaniesz swoją zapłatę — obiecał markiz. — Słuchał oddalających się kroków strażnika, a potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Cateriny. — Proszę dać swoją broszę. Wyciągnęła ją zza stanika sukni. Była rozgrzana ciepłem jej ciała. Markiz spojrział na klejnot. — Może łatwiej będzie wyjąć kamień z bransolety — rzekł. — Mógłbym wydłubać go zapinką broszy.

Caterina podała mu bransoletę.

— Kim są ojcowie redemptoryści? — zapytała.

— Należą do katolickiego zakonu, założonego w średniowieczu do załatwiania spraw związanych z okupami — odparł markiz. — To jedyni ludzie, którym możemy ufać.

— Czy oni... pomogą nam?

— Jestem tego pewien. — Mówiąc to markiz obluzował jeden z mniejszych diamentów w bransolecie. Potem zwrócił oba klejnoty Caterinie. — Proszę również o listę — zwrócił się do niej markiz. — Dobrze, że nie włożyłem jej do kieszeni surduta.

Podając mu listę, Caterina popatrzyła na jego cienką lnianą koszulę.

- Może być panu zimno — powiedziała zmartwionym głosem.
- Sądzę, że zimno to najmniejsze z naszych zmartwień — odparł oschle.
- Zaledwie Caterina zdążyła wsunąć klejnoty za stanik, kiedy usłyszeli głosy i kroki. Drzwi celi otworzyły się i stanął w nich wysoki człowiek ubrany w mnisi habit.
- Przeprowadziłem ci zakonnika — powiedział strażnik znacząco. Markiz podał mu diament. Strażnik spojrział na niego i oczy rozbłyły mu chciwością.
- Jesteś jednym z ojców redemptorystów? — zapytał markiz po francusku.
- Tak — odparł zakonnik w tym samym języku.
- To bardzo uprzejmię z twojej strony, ojcze, że przybyłeś tu na moją prośbę — zaczął markiz. — Rozumiem, że możesz nam pomóc.
- Pomaganie więźniom niewiernych to obowiązek, który ojcowie redemptoryści przyjęli na siebie — odparł.
- Czy w Tunisie przebywa konsul brytyjski? — zapytał markiz.
- Jest tu, ale w więzieniu — odparł zakonnik.
- W więzieniu!
- Konsulowie są teraz zmuszani do czołgania się przed bejem pod drewnianą kratą — wyjaśnił mnich. — Brytyjski konsul zaprotes-

tował i został wtrącony do lochu, gdzie ma przebywać, póki nie przeprosi beja.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął markiz.

— Pomogę wam, jeśli będę mógł — powiedział zakonnik spokojnie.

— Nazywam się markiz Melford. — Jestem człowiekiem bardzo bogatym i zamierzam wykupić żonę, siebie i moją załogę. Oto lista z ich nazwiskami.

— Czy to mądrze ogłaszać, że jest pan człowiekiem majątnym? — spytał zakonnik. — To znacznie podniesie wysokość waszego okupu.

— Nie martwi mnie to — odparł markiz. — Chcę się tylko wydostać stąd. Czy jest możliwe, ojcze, aby któryś z twoich mnichów pojechał po pieniądze na Maltę lub do Anglii, jak tylko zostanie ustalona wysokość okupu?

Ojciec redemptorysta wyglądał na zaskoczonego.

— Malta jest znacznie bliżej — powiedział. — Czy możesz, panie, otrzymać pieniądze stamtąd?

— Wielki mistrz jest moim przyjacielem — rzekł markiz. — Wie, że jakiegokolwiek pieniądze wydane na mnie, zostaną mu zwrócone.

— Wobec tego sprawa pańskiego okupu nie powinna być trudna — stwierdził redemptorysta. — Mam tylko nadzieję, że równie łatwo załatwimy okup za pańską żonę.

Zapadła cisza.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro markiz.

— To znaczy — powiedział powoli zakonnik — że bej Hamuda niechętnie pozwala młodym i pięknym kobietom na opuszczenie Tunisu.

— Nie rozumiem! — wykrzyknął markiz. — Sądziłem, że muzułmanie czczą kobiety i że każdy, kto je skrzywdzi, będzie ukarany.

— Tak jest w przypadku większości muzułmanów — zgodził się redemptorysta — lecz to bej stanowi prawo, a on nie jest prawdziwym muzułmaninem.

— Myśli ojciec, że mógłby zabrać moją żonę dla siebie? — zapytał markiz, a Caterina wyczuła nutę zgrozy w jego głosie.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie zainteresowany, gdyż madame jest mężatką, a pan chce zapłacić za nią duży okup — rzekł ksiądz. — Inna sprawa jest z dziewczycami.

Zapadła cisza.

— Proszę nam powiedzieć, co się dzieje z dziewczycami — poprosił markiz.

— Cóż, jak zapewne wiesz, milordzie — zaczął kapłan — rano twoi ludzie zostaną zabrani na targ niewolników, gdzie sprzedadzą ich tym, którzy dadzą najwyższą cenę. Najdrożsi więźniowie to wykwalifikowani rzemieślnicy i młode kobiety. — Przerwał na chwilę. —

Za

arystokratę, kawalera maltańskiego lub niezwykle piękną kobietę wysokość okupu sięga sum niewiarygodnych — ciągnął. — Po zakończeniu licytacji więźnia, bej decyduje, czy pozwoli zatrzymać go kupującemu, czy też sam jego... lub ją weźmie. — Ksiądz spojrział na Caterinę, a potem odwrócił od niej wzrok. — Tak czy inaczej, bej ma prawo do jednego więźnia na ośmiu. Oczywiście wybiera najlepszych, jak wasza lordowska mość może się łatwo domyślić. — Markiz nie odezwał się. — Mężczyźni, zazwyczaj półnaczy, są oglądani na targu, lecz kobiety są badane bardziej szczegółowo za zamkniętymi drzwiami. — Znowś spojrział na Caterinę. — Jeśli kobieta okazuje się dziewicą, ma do niej prawo bej, resztę odsyła się do Konstantynopola: sułtan daje dobre ceny, zwłaszcza za kobiety jasnowłose.

— To niewiarygodne! — wykrzyknął markiz. — Czy to możliwe, że we współczesnym świecie wciąż istnieje coś tak haniebnego i barbarzyńskiego?

— Sami często zadajemy to pytanie — westchnął redemptorysta. — Lecz nic nie da się zrobić, póki istnieje piractwo, a statki barbarzyńców zagrażają Morzu Śródziemnemu.

W tym momencie markiz poczuł, że mała zimna dłoń wsuwa się do jego ręki. Zacisnął na niej palce.

— Błagam cię, ojczy — powiedział spokojnie — udziel nam ślubu.

Zakonnik spojrzał dobrotliwie, a na jego ustach pojawił się nieznaczny uśmiech.

— Tak myślałem, panie — odparł — że domyślasz się, co to oznacza. — Mówiąc to, spojrzał na rękę Cateriny. Wiedziała, że musiał zauważyć, iż nie nosiła obrączki. —

Chciałbym bardzo udzielić wam ślubu — powiedział — jest tylko jedna trudność.

— Co takiego? — zapytał markiz.

— Małżeństwo udzielone przeze mnie będzie ważne — odparł redemptorysta — tylko w wypadku, jeśli przynajmniej jedno z was jest katolikiem.

Nastąpił moment ciszy.

— Ja jestem katoliczką — Caterina odezwała się pierwszy raz, odkąd zakonnik wszedł do celi.

— W takim razie jestem gotów — stwierdził kapłan, wyciągając z zanadrza mszał. — Ponieważ małżeństwo jest mieszane, ceremonia będzie krótka. Będziecie potrzebować obrączki.

Caterina spojrzała na markiza, pytając bez słów, czy powinna wyciągnąć z za stanika duży diamentowy pierścień. Niedostrzegalnie pokręcił głową. Po chwili wahania Caterina sięgnęła do włosów i wyciągnęła z nich szpilkę. Markiz zwinął ją w kółko.

— Jakie są wasze imiona? — zapytał kapłan.

— Valeriusz i Caterina — odparł markiz.

— Klęknijcie — nakazał zakonnik. Uklękli przed nim, a on zmówił po cichu łacińską modlitwę.

— Valeriuszu — zwrócił się do markiza — czy bierzesz sobie obecną tu Caterinę za prawowitą małżonkę?

— Tak — odpowiedział markiz.

— Caterino, czy bierzesz sobie obecnego tu Valeriusza za prawowitego małżonka?

— Tak... — rzekła cicho Caterina.

Potem powtórzyli za kapłanem słowa przysięgi: „Na dobre i złe, w dobrej i złej doli, w zdrowiu i chorobie, póki śmierć nas nie rozłączy”. Kapłan połączył ich dłonie.

— *Ego conjungo vos in Matrimonium* — rzekł po łacinie. — Markiz położył na mszale obrączkę zrobioną ze szpilki do włosów, a kapłan pobłogosławił ją. — Powtarzaj za mną — nakazał: — „Tą obrączką poślubiam cię, przyrzekam okazywać ci szacunek i obdarzyć wszelkimi moimi ziemskimi dobrami”. — Wsunął obrączkę na palec Cateriny. Potem pobłogosławił ich, czyniąc nad nimi znak krzyża i mówiąc po łacinie: — *Dominus Deus om-nipotens benedicat Vos*. — Powstali. — Bądźcie szczęśliwi — powiedział z głębi serca. — Będę się za was modlił.

— Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, ojcze. Zobaczymy się jutro? — zapytał markiz.

— Pójdę z wami do pałacu beja, milordzie — odparł zakonnik. Do tego czasu zorientuję się, który z braci mógłby natychmiast pojechać w twoim, panie, imieniu na Malte. Napiszę też list w sprawie ludzi, których nazwiska mi dałeś — spojrział na listę. — Kiedy zostaną sprzedani, nawiążę kontakt z ich właścicielami, jak tylko nadejdą pieniądze, wykupimy ich.

— Nie jestem w stanie wyrazić mojej wdzięczności — powiedział markiz.

Zakonnik zastukał w drzwi celi, które się natychmiast otworzyły. Caterina uświadomiła sobie, że dozorca musiał wszystko słyszeć. Redemptorysta wyszedł na korytarz, powiedział coś po arabsku do dozorca i oddalił się. Strażnik nie zamknął celi, tylko wszedł do środka.

— Jesteś człowiekiem bogatym — stwierdził raczej niż zapytał.

— Tak jest, co jak sądzę, zdołałeś podsłuchać — odparł markiz.

— Czy później zapłacisz mi za to, co jeszcze dla ciebie zrobię?

— Uczynię z ciebie człowieka bardzo bogatego, jeśli pomożesz nam w ucieczce — rzekł markiz.

Dozorca zamachał rękami.

— To niemożliwe!! Zbyt trudne. Bramy *bagno* są zamykane każdej nocy.



— Nic nie jest niemożliwe! — odparł szybko markiz. — Musisz przecież mieć przyjaciół, którzy także chcą pieniędzy. Gdybyś przemycił nas na statek płynący na Malte, twoja nagroda byłaby wielka. — Pomyśl o tym — rzekł markiz, gdy milczenie się przedłużało — i pamiętaj, że mówię prawdę. Przyrzekam ci, że będziesz bogaty, bardzo bogaty, jeszcze tego samego dnia, kiedy moja żona i ja uciekniemy stąd.

— Dozorca więzienny jest z natury człowiekiem biednym, monsieur — powiedział strażnik płaczącym głosem. — Czy nie nagrodzisz mnie szczerzej za to, co już dla ciebie zrobiłem?

— Zostałeś wystarczająco wynagrodzony — odparł markiz. — To najwyższej klasy diament. Ale mogę dać ci ich więcej. Mogę sprawić, że twoje życie będzie łatwe i nie będziesz już musiał pracować — lecz nie przed naszą ucieczką.

— Prosisz o wiele, panie, o bardzo wiele — wymamrotał strażnik.

Nagle rozległy się jakieś nawoływania. Dozorca wyszedł szybko z celi, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

— Ahmed! Ahmed! — krzyk znów się powtórzył, a oni usłyszeli, jak dozorca krzyczy coś w odpowiedzi, wbiegając na schody.

Markiz obrócił się do Cateriny.

— Dziwny ślub — powiedział wzruszonym głosem.

— Boję się tego... — odparła — o czym mówił ojciec redemptorysta.

— Ja też się tego obawiam — potwierdził markiz.

— Jeśli bej... zabierze mnie... od ciebie... — wyszeptała — będę musiała... umrzeć.

— Wiem — odparł markiz szybko. — Możemy się tylko modlić, żebyś jako kobieta zamężna nie wzbudziła jego zainteresowania. — Objął ją i przyciągnął do siebie. — Nigdy nie zapomniałem, jak słodkie były twoje usta — powiedział. — Czy jestem pierwszym mężczyzną, który cię pocałował?

— Jedynym... — odparła Caterina. Zapomniała o tym, że znajdowali się w celi i o przerażającym jutrze. Była świadoma jedynie oszalamiającego uczucia, które na nią spłynęło.

Istniał tylko markiz, cud jego pocałunku i niepojęta, niewysłowiona ekstaza ogarniająca jej ciało. Miała wrażenie, że dopiero teraz budzi się do życia, a wszystkie marzenia i tęsknoty stały się rzeczywistością. Jego dotyk wyzwolił w niej nieznane odczucia, zmieniając krew w żyłach w gorący płomień.

Nagle budynkiem wstrząsnęła gwałtowna eksplozja. Huk był przerażający, zdawało się, że wydarł im dech z piersi. Dźwięk powtórzył się jeszcze raz, a potem jeszcze raz, nagły, szarpiący nerwy, uderzył w nich jak śmiertelny cios.

Markiz uniósł głowę, nie wypuszczając Cateriny z objęć.

— Co to było? — zapytała.

Jego odpowiedź utonęła w kolejnym, a potem jeszcze jednym ogłuszającym wybuchu.

Budynek zadrżał ponownie. Wciąż stali przy sobie, ciasno objęci. Caterina desperacko tuliła się do markiza, kiedy rozległ się dźwięk klucza przekręcanego w zamku i drzwi celi stanęły otworem.

— Szybko, monsieur, szybko! — krzyczał dozorca. — To wasza szansa! Bombardują nas i pocisk trafił w mur *bagno!*

## Rozdział 8

Na dziedzińcu *bagno* było istne pandemonium. Pocisk wystrzelony z atakującego statku spowodował pożar wielu kramów. Płomienie oświetlały wielkie, wciąż zamknięte drzwi więzienia, a obok nich zburzony mur. Przez szeroką wyrwę zdążyło już uciec wielu niewolników.

— Szybko, monsieur, za mną! *Vite! Vite!* — krzyknął dozorca.

Trzymając Caterinę za rękę, markiz zaczął biec za nim przez dziedziniec, krzycząc cały czas:

— Do „Jastrzębia Morskiego"! Do „Jastrzębia Morskiego"!

Caterinie wydawało się, że usłyszała kogoś odkrzykującego coś w odpowiedzi, lecz w tym zamieszaniu niczego nie można było być pewnym. Krzyki, jęki, trzask płomieni, huk spada-

jących kamieni i grzechot karabinów tworzyły nieopisany chaos.

Kiedy dotarli do wyłomu w murze, markiz przeniósł Caterinę przez strzaskane kamienne bloki i postawił ją dopiero na brukowanej drodze, prowadzącej do nabrzeża.

Znów rozległ się jego donośny głos:

— Do „Jastrzębia Morskiego"! Do „Jastrzębia Morskiego"!

Podążając za dozorcą, pobiegli zatłoczoną drogą do portu. Tam dozorca zatrzymał się; a markiz i Caterina dogonili go.

— Gdzie twój statek, monsieur? — zapytał". W świetle palącego się szkunera, markiz zorientował się, że przy nabrzeżu nie było „Jastrzębia Morskiego". Po chwili dostrzegł, że stoi zacumowany w pewnej odległości od brzegu, na szczęście poza linią ognia z atakującego statku.

— Mój jacht jest tam — zwrócił się do strażnika po francusku, wskazując kierunek.

— Będziemy musieli do niego dopłynąć, milordzie — rozległ się głos obok.

— Kapitan Brinton! — wykrzyknął markiz. — Cieszę się, że pana widzę!

— Tu jestem, milordzie! — krzyknął ktoś inny, a Caterina rozpoznała głos Hedleya. Wokół zaczęło rozlegać się coraz więcej głosów mówiących po angielsku.

— Nie marnujmy czasu! — rzekł ostro markiz. — Musimy dostać się na pokład. — Po-

tem zwrócił się do dozorca: — Idziesz z nami, czy wolisz raczej, żebym nagroził cię teraz?

— Pójdę z panem — odparł dozorca. — Jeśli zostanę, stracę życie za to, że pozwoliłem wam uciec.

Kiedy markiz rozmawiał z kapitanem, Hedley i wielu innych wskoczyło do wody, płynąc w kierunku jachtu.

Caterina położyła dłoń na ramieniu markiza.

— Musi mnie pan zostawić — powiedziała. — Musi pan iść, szybko!

— Proszę nie być głuptasem! — powiedział zdenerwowany markiz — tylko wejść mi na plecy. — Pochylił się, a Caterina bez słowa sprzeciwu wdrapała się na jego plecy jak dziecko, które czeka przejażdżka wokół ogrodu. — Proszę trzymać mnie za ramiona, nie za szyję — rozkazał markiz.

Ledwie Caterina zdołała zrobić, co powiedział, markiz wskoczył do wody i zaczął płynąć za wyprzedzającymi go marynarzami.

Statek u wejścia do portu wciąż się palił. W rozbłyskach wybuchających armat Caterina dostrzegła wyraźnie olbrzymie krzyże na wszystkich żaglach. Domyśliła się, że statek należał do Zakonu Świętego Jana.

Byli już blisko jachtu, kiedy jeden z pocisków upadł niedaleko nich. Obok wyrosła fontanna wody, a opadając fala zalała płynących, zmoczyła włosy Cateriny i oślepiła ją.

— Wszystko w porządku?

Głos markiza, spokojny i opanowany, sprawił, że mocniej przylgnęła do jego barków.

— Tak... w porządku... — odparła potrząsając głową, aby pozbyć się wody z oczu.

— Jesteśmy już prawie na miejscu. Kapitan wraz z innymi zdążyli wejść na pokład i spuścić dla nich liny. Teraz krzyczeli do markiza, wskazując kierunek bardziej na lewo.

Wreszcie markiz dopłynął do liny. Ten sam marynarz, który ratował Caterinę, kiedy próbowała się utopić, pomógł jej i teraz. Gdy odzyskała równowagę, markiz był już na pokładzie.

— Proszę zejść na dół — rozkazał głosem tak stanowczym, że Caterina pobiegła do kajut, nie zważając na mokre, przylegające do nóg suknie. Na dole nie było światła, więc po omacku dotarła do swojej kabiny. Bulaje przepuszczały dość światła, żeby zobaczyć, że pomieszczenie było zupełnie puste. Wszystko zniknęło, nie było nic prócz gołych ścian. Przeszła do kabiny markiza. Tak jak się spodziewała, była pusta. Nic nie zostało. Pomimo to, Caterina poczuła się jakby wróciła do domu, a jeśli Bóg będzie im sprzyjał, to uda się uciec!

Słyszała zgrzyt podnoszonej kotwicy, pospieszny tupot stóp na pokładzie, dźwięk spuszcanych żagli oraz głos kapitana wydającego rozkazy.

Usłyszawszy kolejny głośny wybuch, zastanowiła się, dlaczego nadbrzeżne działa nie odpowiadają na salwy ze statku zakonu. Z nagłym skurczem serca uświadomiła sobie, że działa umieszczone przy wyjściu z portu bardzo łatwo mogły ich zatopić. Z pewnością dobrze ich widać w świetle płonącego szkunera, ktoś może wycelować w nich działo, i jacht stanie w płomieniach. Co więcej, ludzie na statku Zakonu Świętego Jana mogą pomyśleć, że są wrogami, a pocisk z ich armaty z pewnością zatopiłby „Jastrzębia Morskiego”.

Przemoczona od stóp do głów, stojąc w kałuży wody spływającej z sukni, Caterina poczuła nagle, jak bardzo się boi. Zaczęła się desperacko modlić. Modliła się tak gorąco i żarliwie, jak jeszcze nigdy w życiu, nawet wtedy, gdy prosiła Boga, aby pozwolił jej uciec przed małżeństwem z markizem Soranzo.

Teraz nadszedł moment prawdziwego niebezpieczeństwa: mijali wejście do portu, ścigani wystrzałami z brzegu i z chrześcijańskiego statku. Caterina opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Nerwy miała napięte do ostateczności. Każda eksplozja sprawiała, że wzdrygała się nerwowo w obawie, że to oni są celem.

Wciąż jednak płynęli. Kiedy po pewnym czasie ucichły odgłosy wystrzałów i zapanowała cisza, Caterina podniosła się. Otworzyła oczy i wyjrzała przez bulaj. Byli na pełnym morzu.



Ani śladu po porcie, czy płonącym statku. Wtedy Caterina poczuła taką ulgę, że nie mogła ustać na nogach. Osunęła się na podłogę.

— Dzięki ci, Panie... dzięki... — powtarzała bez przerwy.

Trzy godziny później horyzont zaczął się przejaśniać.

— Zdaje się, kapitanie, że udało się nam — rzekł markiz.

— Tak sędzę, milordzie — odparł kapitan z satysfakcją. — Ciągłe jednak istnieje niebezpieczeństwo, że możemy spotkać inny statek tych diabelskich rabusiów, albo tamci wyślą za nami pościg.

— W takim razie musimy rozwinąć tyle żagli, ile tylko będzie można — rzekł markiz.

— Brakuje nam ludzi, milordzie — stwierdził kapitan. — Co prawda nie ma tu marynarza, który nie pracowałby do upadłego, byleby tylko nie znaleźć się z powrotem w tym parszywym więzieniu, z którego właśnie uciekliśmy.

— Było źle? — zapytał markiz.

— Nigdy nie widziałem miejsca, które bardziej przypominałoby piekło — odparł kapitan ponuro.

— Powinniśmy dotrzeć do Malty najwyżej za dwa dni — powiedział markiz. — Ale to

oznacza, że niewiele będziemy odpoczywać. Nie mamy również co jeść, chyba że złowimy jakieś ryby.

— Uda nam się, milordzie.

Obaj mężczyźni byli nadzy do pasa, podobnie jak reszta załogi. Zabrano im wszystko prócz spodni. Markiz, który pracował równie ciężko przy wydostaniu jachtu z portu, jak wszyscy jego ludzie, zdjął krawat i koszulę.

— Ilu mamy ludzi, kapitanie? — zapytał.

— Osiemnastu razem z panem, milordzie — odparł kapitan — i z tym pętakiem, który przybył z panem.

— Mój dozorca! — uśmiechnął się markiz. — Gdyby nie on, kapitanie, nie byłoby mnie tu.

— Sądzę, że już wcześniej pracował na statku, milordzie, więc może się przydać — stwierdził kapitan bez entuzjazmu.

— Będzie musiał się przydać — odparł markiz.

Podniósł koszulę i krawat, zszedł pod pokład. W świetle poranka dostrzegł pusty salon, otwarte drzwi do swojej kabiny i zamkniętą kabinę Cateriny.

Zapukał delikatnie i otworzył drzwi. Suknią i halki schły rozłożone na podłodze. Dziewczyna, ubrana w przezroczystą koszulę nocną, w której rozpoznał własność Odette, spała skulona w kącie. Markiz przyglądał się jej przez

długą chwilę. Potem położył na podłodze krawat i koszulę, i wyszedł z kabiny. Dwie godziny później słońce wyglądało jak ognista kula. Marynarze ocierali pot z czoł. Markiz znów zszedł do kabiny. Zapukał do Cateriny, usłyszał „proszę wejść!” i otworzył drzwi. Była już ubrana.

Ujrawszy jej rozszerzone ze zdziwienia oczy, zrozumiał, że mając na sobie jedynie obcisłe pantalone, przedstawia widok co najmniej dość niezwykły.

— Jesteśmy bezpieczni! Uciekliśmy! — wykrzyknęła bez tchu Caterina.

— Jeśli nadal będziemy mieli szczęście, to dotrzemy do Malty bez przeszkód — odparł markiz.

— Nie mogę uwierzyć, że to... prawda — powiedziała półgłosem.

— Ani ja — zgodził się markiz. — Mieliśmy szczęście! Statek zakonu zniszczył nadbrzeżne armaty, zanim zdążyły zacząć bombardowanie portu.

— Zastanawiałam się, dlaczego do nas nie strzelali? — zapytała Caterina.

— Mieliśmy wiele szczęścia — rzekł markiz. — Ale mamy zbyt mało ludzi, tylko osiemnastu zamiast pięćdziesięciu, a co więcej, statek został całkowicie ogołocony. Nie mamy nic do jedzenia. — Caterina patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. — Dlatego chciałbym pro-

sic — dodał — o wypożyczenie diamentowej broszy. — Zapinki użyjemy jako haczyka na ryby.

— Różne może być zastosowanie klejnotów — uśmiechnęła się Caterina.

Wyciągnęła zza stanika mały złoty kluczyk, zwolniła sprężynę w boazerii i otworzyła drzwiczki schowka. Markiz wziął diamentową broszę i ostrożnie oddzielił od niej zapinkę. Caterina dostrzegła, że z drugiego końca zapinka ma oczko.

— Najgorsze jest to, że nie mamy przynęty — powiedział markiz. — Trudno będzie zwabić rybę jedynie błyskiem złota!

— Może to będzie kobieta — zasugerowała Caterina, a markiz się roześmiał. Spojrzał na jej opadające na ramiona włosy. — Już wcześniej stwierdziłszy — rzekła nieco zakłopotana — że morską wodą nie poprawiła wyglądu sukien. Na nieszczęście piraci nie zostawili mi nawet grzebienia czy szczotki do włosów.

— Mimo to wygląda pani pięknie — powiedział. — Czy to właśnie chciała pani usłyszeć?

— patrzył przez chwilę w jej oczy, a ona zarumieniła się. — Muszę wracać do pracy — powiedział surowo, jakby ganił sam siebie.

Kazał marynarzowi rozplątać jedną z lin. Powstał dzięki temu dość długi sznurek, który przywiązał do zapinki wygiętej w kształt haczyka.

Caterina podążyła za nim na pokład i przyglądała się, jak rzuca haczyk za rufę, a następnie rozwijała długi sznurek. Markiz kazał jej usiąść i wręczył koniec linki.

— Jak pani poczuje, że jest cięższa, proszę mnie od razu zawołać — powiedział.

i Caterina posłusznie usiadła w prażącym słońcu i czekała. Raz czy dwa wydawało się jej, że czuje szarpnięcie, lecz były to tylko wzburzone fale. Wciągnąwszy linkę stwierdziła, że złoty haczyk jest pusty.

Nagle poczuła to. Gwałtownie pociągnęła linkę... na jej końcu szamotała się mała rybka.

Caterina była rozczarowana, póki nie podbiegł do niej markiz.

— Na to właśnie czekaliśmy, przynęta! — wykrzyknął uradowany. — Teraz naprawdę możemy zacząć łowić!

Podzielił rybkę na trzy części. Jedną założył na haczyk i rzucił z powrotem do wody.

Przynęta zniknęła z haczyka. Za drugim razem markiz ostrożnie umocował kawałek rybki na haczyku, w obawie że przynęta im się skończy, zanim zdołają coś złowić. W końcu — zwycięstwo!

Półtorakilogramowa ryba została wciągnięta na pokład, a zaraz za nią następna. Markiz zawołał Hedleya.

— Sądzę, że możesz zacząć je przyrządzać — powiedział — a my poczekamy na

następne. Nawet ta odrobina jedzenia zapewni ludziom trochę siły.

— Zajmę się tym, milordzie.

— Myślę, że bardziej się przydam pomagając Hedleyowi — zasugerowała Caterina.

— Ma pani rację — zgodził się markiz. — Ludzie mogą zmieniać się przy wędce, to da im chwilę wypoczynku.

Caterina poszła do kambuza. Opuszczając statek w Tunisie, piraci zabrali wszystkie garnki i naczynia. Teraz za pomocą szkła, Hedleyowi udało się rozpaścić ogień pod umocowanym na stałe rusztem, który w ten sposób ocalał od grabieży.

Hedley oczyścił ryby i położył je na ruszcie.

— Podzielimy je sprawiedliwie, panienko — powiedział. — Nawet mały kęs postawi głodującego człowieka na nogi.

Przez resztę dnia Caterina i Hedley piekli ryby, które łapano prawie bez przerwy. Czasem ktoś złowił tuzin jedną po drugiej, a czasem nic przez godzinę.

Nie mieli żadnych naczyń, więc pili czerpiąc wodę z beczek złożonymi rękami. Ale przynajmniej nie byli spragnieni, mimo że słońce prażyło niemiłosiernie.

Było już prawie ciemno, kiedy Caterina zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Pracowała przez cały dzień i miała nadzieję, że już do końca życia nie będzie musiała oglądać

ryb. Pognieciona i zmięta od wody morskiej suknia, teraz zabrudziła się przy pracy, lecz była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Widziała kilkakrotnie, jak ludzie padali nagle na pokład, spali kilka minut, a potem wstawali i znów zaczynali pracować.

— Chyba muszę zejść do kabiny — zwróciła się do Hedleya.

— Dziś już nie będzie więcej ryb, panienko — odparł. — Powiem im, żeby wciągnęli i schowali ten cenny haczyk. Nie chcemy przecież stracić go w nocy.

— To prawda — zgodziła się Caterina.

— Proszę się przespać, panienko — powiedział Hedley. — A jeśli zostawi panienka suknię przed drzwiami, to postaram się ją wyprać.

— Jak to zrobisz? — zapytała Caterina.

— Pociągniemy ją w wodzie z boku statku, panienko. Nie będzie wyglądała jak z Bond Street, ale przynajmniej będzie czysta.

Caterina roześmiała się. Ale zrobiła tak, jak zasugerował Hedley. Ponownie założyła koszulę nocną Odette i położyła się na podłodze.

Nie spała długo, lecz czuła się wypoczęta. Znów przypomniała sobie wargi markiza na swoich ustach, jego gwałtownie bijące serce, głos mówiący, że jest piękna.

— Kocham go... kocham — wyszeptała i pomyślała o małej obrączce zrobionej ze szpilki do włosów, którą ukryła razem z innymi

klejnotami. Nagle usłyszała jego głos tak wyraźnie, jakby był w kabinie: „Nigdy się nie ożenię!” Rozmawiał wtedy z Odette, a głos miał tak stanowczy, że nie można było mieć żadnych wątpliwości co do intencji mówiącego.

„Kobiety to utrapienie! Lepiej nam będzie bez spódniczek! — Kobiety, wszystkie kobiety — a pani nie jest wyjątkiem — potrafią doprowadzić człowieka do szału!” — Jego słowa powracały do niej bez końca: „Nigdy się nie ożenię! Nigdy się nie ożenię!” Caterina załkała. Skąd miał wiedzieć, pomyślała, że ofiarował swoją wolność niepotrzebnie, bo uda nam się uciec!

Następnego dnia piekli ryby z Hedleyem tak długo, aż poczuła, że wszystko robi automatycznie, niemal nie zdając sobie z tego sprawy.

Godzina po godzinie podtrzymywali ogień drewnianymi częściami z nadbudowy statku. Odrywali nawet kawałki burt w takich miejscach, w których nie stanowiło to zagrożenia dla jachtu.

Przez cały czas Caterina słyszała głos markiza podtrzymującego ludzi na duchu. Żartował z nimi, ożywiał tych, którzy zaczęli tracić nadzieję. Nie było wątpliwości, że wszyscy są już bardzo zmęczeni.

Pomimo beztroskiego tonu w jego głosie, wiedziała, że markiz cały czas obserwuje horyzont za nimi, spodziewając się pościgu. Tak



samo jak kapitan, obawiał się, że piraci nie zawahają się posłać w pościg swoich najszybszych statków. Stracili przecież okup za bardzo bogatego arystokratę.

Pewnego razu Caterina zauważyła, że markiz, przysiadłszy na chwilę na pokładzie, natchmiast zapadł w sen. Oparła się chęci, aby podejść do niego i ułożyć go wygodniej. Jednak za kwadrans znów był na nogach, a gdy jeden z żagli zaplątał się w takielunek, markiz przed innymi wszedł na maszt, żeby usunąć splątanie.

Nawet dozorca opadł z sił. Jako marynarz był bezużyteczny, przydzielono go więc do łowienia ryb, co szło mu całkiem dobrze. Wiedzieli już dokładnie, ile przynęty należy założyć na haczyk, aby ryba jej nie porwała.

W końcu, kiedy słońce schowało się za horyzontem, dziewczyna była skrajnie wyczerpana. Markiz wszedł niespodziewanie do kuchni, spojrzął na bladą twarzyczkę Cateriny i powiedział zdecydowanie:

— Proszę iść do swojej kabiny, Caterino, dość już pracy na dziś.

— Została jeszcze ta ostatnia ryba.

— Proszę robić, co każe — powtórzył markiz stanowczo. — Nikt nie jest głodny. A jeśli ktoś będzie chciał jeść, sam może przygotować sobie posiłek. Menu jest cokolwiek skromne, ale przynajmniej pozwala utrzymać się przy życiu.

— Pan też musi być zmęczony — rzekła Caterina.

— Wszyscy jesteśmy zmęczeni — odparł — lecz jutro dotrzemy do Malty.\_

Uśmiechnął się. — Dziękuję, Caterino — dodał, unosząc jej dłoń do ust.

— Cuchną rybą — zaprotestowała.

— Wyszorujemy się, wszyscy, zanim wpłyniemy do portu — obiecał markiz. Caterina zeszła do kabiny.

Następnego dnia na horyzoncie dostrzegli ciemny punkcik. Malta.

— Ziemia! Ahoy! — krzyknął któryś z marynarzy i wszyscy podbiegli do burty. Caterina podeszła do markiza.

— Malta — powiedział spokojnie. Satysfakcja w jego głosie zdradzała, jakie znaczenie miało dla niego bezpieczne wyprowadzenie jachtu z Tunisu.

Godzinę później Caterina zobaczyła markiza ubranego w białą koszulę i krawat. Wyglądał niemal tak elegancko jak zwykle, tylko ręce nosiły ślady przebytych trudów. Dłonie miał pokryte bąblami, paznokcie zdarte, a smoły nie dało się usunąć nawet z pomocą mydła.

Caterina nie mogła tego powiedzieć o sobie. Jej suknia, pomimo wielu kąpieli w morskiej wodzie, była przerażająco brudna, a gorset przypominał szmatę. Nie mogła też bez grzebienia i szczotki porządnie ułożyć włosów. Powie-

działa więc sobie, że wygląd się nie liczy. Naprawdę ważne było to, że żyli! Żyli i byli wolni!

Nawet teraz nie mogła do końca uwierzyć, że udało im się uciec od koszmaru *bagno*, a jeśli o nią chodziło, od znacznie gorszego losu, jaki mógłby ją czekać u beja.

Jednak ostatnią noc spędziła bezsennie, zastanawiając się, co powie markizowi, gdy zostaną sami.

— Nie mogę go zatrzymać, nie wolno mi — powiedziała do siebie.

Malta była coraz bliżej. Mogli już dostrzec wieże kościołów rysujące się na tle nieba.

Caterina podjęła decyzję.

— Mam panu coś do powiedzenia, milordzie.

Stali oboje przy burcie. :— Co takiego? — zapytał patrząc ciągle na wyspę.

— Ja... nie jestem katoliczką. — Markiz nie poruszył się. — Skłamałam, bo... tak strasznie się bałam...

— Chce pani powiedzieć, że nasze małżeństwo jest nieważne? — zapytał markiz po chwili.

— Jesteś, panie... wolny. — Markiz już miał coś powiedzieć, lecz Caterina nie pozwoliła mu. — Wyjaśnienie mojej obecności na jachcie — ciągnęła — będzie najprawdopodobniej dla pana krępujące... a ja nie chciałabym, aby wielki mistrz poznał... moje prawdziwe nazwisko-

ko. — Przerwała na chwilę, a potem zaczęła mówić dalej, jakby z wysiłkiem: — Wymyśliłam w nocy, że mógłby pan powiedzieć, iż jestem tylko krewną... kuzynką, którą znalazłeś bez środków do życia w Wenecji! Mój opiekun mógł być chory... więc czułeś się w obowiązku... zabrać mnie do domu... swoim jachtem.

— Brzmi to wiarygodnie — stwierdził markiz. — Nie zatrzymamy się długo na Malcie, tyle tylko, ile będzie wymagała naprawa jachtu i zaciągnięcie nowej załogi.

— A potem... popłyniemy do... Neapolu! — wyszeptała Caterina niemal niedosłyszalnie. Markiz milczał.

— Moje nazwisko rodowe brzmi Forde — rzekł po chwili — będzie pani w takim razie moją kuzynką, Cateriną Forde. Pewien jestem, że zatrzyma się pani u siostry wielkiego mistrza, hrabiny de Breville, która ma piękny pałac w Valetcie.

— Dziękuję... — powiedziała cicho Caterina. — Jeśli jacht ma pójść do doków... będzie lepiej, jak zajmie się pan tym — mówiąc to podała mu mały złoty kluczyk od schowka.

— Sądzę, że wszyscy potrzebujemy odświeżenia — powiedział. — A pani, Caterino, będzie mogła kupić sobie nowe suknie. Jeśli o mnie chodzi, jestem wdzięczny za wszystko, co pani

zrobiła, mój majątek jest do twojej dyspozycji — markiz mówił to z uśmiechem na ustach, lecz Caterina czuła, że mówi poważnie. Zmusiła się do śmiechu.  
— Nie zbankrutuje pan... przeze mnie, milordzie!

## Rozdział 9

Tak miło znów cię widzieć, milordzie, zaniedbywałeś nas! — powiedziała hrabina de Breville wyciągając rękę na powitanie.

— Musisz mi wybaczyć, pani — odrzekł markiz — lecz pochłaniała mnie naprawa jachtu i kupno sklepu rybnego.

— Sklepu rybnego? — zapytała zaskoczona hrabina.

— Dla człowieka, któremu Caterina i ja zawdzięczamy ucieczkę z więzienia.

— W takim razie, ten człowiek naprawdę zasługuje na wdzięczność!

— To prawda — powiedział markiz. — Niech mi będzie wolno dodać jeszcze, że właśnie wróciłem z letniego pałacu wielkiego mistrza w Veradzie.

— Mam nadzieję, że mój brat dobrze o ciebie dbał — uśmiechnęła się hrabina.

- Jego uprzejmość jest niewyczerpana — odparł markiz. — A jak się czuje Caterina?
- Jako że nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj, Caterina poszła do miasta, aby przymierzyć swoją ostatnią suknię. Okazała się bardzo trudną klientką!
- Trudną? — zdziwił się markiz.
- Obawiam się, milordzie, że byłeś dla niej zbyt surowy — powiedziała hrabina patrząc na niego spod rzęs. — Nie oszukasz mnie, panie, domyślam się powodu, dla którego zabrałeś Caterinę z Wenecji!
- Tak? — zdziwił się markiz.
- Oczywiście — odparła hrabina. — Chodziło o *affaire de coeur*, czego nie pochwalaleś! W takich okolicznościach to naturalne, że Caterina jest bardzo nieszczęśliwa.
- Markiz zmarszczył brwi.
- Dlaczego myśli pani, że jest nieszczęśliwa? — zapytał wolno.
- Nie próbuj mnie zwodzić, milordzie — upomniała go hrabina. — Zdaje pan sobie przecież sprawę, że dziewczyna jest bardzo zakochana. Może się panu nie podobać ów mężczyzna, któremu oddała serce, ale zapewniam cię, że to poważna sprawa, i dziewczyna jest w rozpacz.
- Jest pani tegopewna? — zapytał markiz.
- Mój drogi markizie — odparła hrabina — nigdy jeszcze nie spotkałam ślicznej dzie-

wczyny, której nie interesowałyby piękne suknie, która by nie miała apetytu i płakała nocami w poduszkę. Chyba że jej serce nie byłoby wolne. Musisz jej wybaczyć i być dla niej dobry podczas podróży powrotnej.

— Zrobię, co będę mógł — obiecał markiz.

— Caterina to słodka istota—powiedziała po chwili. — Pewna jestem, że zapomni o tym nieszczęsnym romansie. Lecz pamiętaj, milordzie, że młodzi są bardziej podatni na ciosy

— Czy mam rozumieć, że Caterina nie kupiła sukni, tak jak sobie tego życzyłem? — zapytał markiz.

— Chciałeś, panie, abym kupiła jej wszystko, czego będzie potrzebować — odparła hrabina — ale jej potrzeby są nadzwyczaj skromne! Madame Rachel, którą sprowadziłam z Paryża, ma zachwycającą kolekcję sukni, jakie każda kobieta chciałaby posiadać, lecz Caterina jest wyjątkiem.

Markiz nie odpowiedział. Podziękował tylko hrabinie za zajmowanie się Cateriną.

— Proszę powiedzieć Caterinie — powiedział na pożegnanie — że wypływamy pojutrze. Dzięki wielkiemu mistrzowi wszystko, czego potrzebowałem, zostało dostarczone w rekordowym czasie.

— Żałuję, panie, że nie możesz poczekać na powrót Cateriny — odparła hrabina — i zobaczyć się z nią.



— Żałuję, ale nie mogę — rzekł markiz. — Jestem zaproszony na kolację do ratusza. Ratusz pod wezwaniem Świętych Michała i Jerzego był jednym z najwspanialszych budynków, jakie markiz kiedykolwiek widział. Choć kawalerowie Zakonu Świętego Jana, pochodzący z różnych krajów, mieszkali w różnych częściach Valetty, to cztery razy w tygodniu musieli razem jadać kolacje w ratuszu.

Markiz towarzyszył im tego dnia i stwierdził, że nigdzie na świecie nie można by było znaleźć barwniejszego towarzystwa. Wielki mistrz — Emanuel-Marie de Rohan-Polduc — zasiadł na honorowym miejscu. Po kolacji kawalerowie z Katylii i Leonu zaprosili markiza do pięknego barokowego salonu, gdzie miał okazję rozmawiać z najznakomitszymi członkami zakonu.

Rozmawiano o polityce. Markiz wiedział, że temat ten będzie interesujący dla pana Pitta. Rycerze podróżowali po całej Europie i znali tajemne sekrety większości krajów lepiej niż niejeden ambasador czy minister spraw zagranicznych.

Świtało, kiedy markiz pożegnał swoich gospodarzy i wyszedł na ulicę zalaną bladym, złotawym światłem poranka. W jego blasku, pięknie rzeźbione pałace wyglądały jak z bajki.

Idąc wąskimi uliczkami, które często były kamiennymi schodami, przechodząc pod zwisającymi z balkonów kaskadami kwiatów markiz pomyślał, że Malta jest jednym z najbardziej romantycznych miejsc, jakie kiedykolwiek odwiedził. Minał kościół św. Jana. W tym momencie dostrzegł drobną postać wchodzącą na schody.

Stanął bez ruchu w cieniu budynku, patrząc jak Caterina przechodzi przez ozdobione kolumnami drzwi i znika w kościele. Jej głowę okrywał czarny koronkowy szal. Markiz był pewien, że żadna kobieta nie potrafiła chodzić z taką gracją.

Czekał przez chwilę, a potem wszedł do pogrążonego w półmroku kościoła. Było bardzo cicho. Nagle, kiedy zaczął już myśleć, że to nie Caterinę widział na schodach, dostrzegł ją wychodzącą z bocznej kaplicy. Szła wolno między ławkami. Markiz usunął się głębiej w cień, aby go nie dostrzegła. Głowę miała pochyloną, a kiedy zbliżyła się, dostrzegł, że płakała. Zwróciła się ku ołtarzowi, przyklękła, a potem przeszła przez wielkie drzwi, które się za nią zamknęły.

Markiz przeszedł do bocznej nawy w głębi kościoła. Z konfesjonału wychodził właśnie ksiądz — stary człowiek z dobrotliwą twarzą.

— Czy możemy porozmawiać przez chwilę, ojcze? — zapytał markiz.

— Oczywiście, synu — odparł ksiądz.

— Nie jestem katolikiem — wyjaśnił markiz — ale potrzebuję twojej pomocy.

— Zawsze ją otrzymują ci, co są w potrzebie — powiedział ksiądz. Wskazał na jedną z rzeźbionych ławek. Usiedli obok siebie.

— Chciałbym aby ojciec mi wyjaśnił — zaczął markiz — co się dzieje, jeśli katolik, który poślubił protestanta, chce rozwiązać małżeństwo?

Ksiądz rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Jeśli związek został pobłogosławiony przez katolickiego księdza — odparł — wtedy nie można go rozwiązać, chyba że zaszły wyjątkowe okoliczności.

— To znaczy? — zapytał markiz.

— Anulowanie małżeństwa można otrzymać jedynie z Rzymu, od Ojca Świętego. Może minąć wiele lat i powody muszą być bardzo przekonujące, zanim taka prośba zostanie spełniona. Muszę dodać, że jest to też nadzwyczaj kosztowne.

— A jeśli tych dwoje ludzi nie żyło z sobą — badał dalej markiz — czy katolik mógłby ponownie zawrzeć związek małżeński?

— Byłby to grzech śmiertelny, a osoba ta naraziłaby się na ekskomunikę — odparł ksiądz.

— Nie wierzę, żeby katolik nawet pomyślał o czymś takim!

Markiz wstał.

— Dziękuję, ojcie — powiedział. — To właśnie chciałem wiedzieć. Proszę przyjąć ofiarę na biednych z Malty — wręczył księdzu znaczną sumę pieniędzy i wyszedł z kościoła. Słońce oślepiająco odbijało się od wody, kiedy „Jastrząb Morski” wypływał z portu na pełne morze. Caterina stała na pokładzie obok markiza i machała na pożegnanie przyjaciołom, którzy przyszli ich odprowadzić.

Przed nimi płynął statek zakonu. Na każdym z jego ogromnych żagli widniał znak ośmioramiennego krzyża.

— Nie musimy się obawiać ponownego pojmania — rzekł markiz. — Wielki mistrz dał nam eskortę aż do Gibraltaru.

Caterina spojrzała na niego.

— Gibraltar? — zapytała.

— Dopiero tam zawiniemy do portu — odparł markiz. — Caterina nie odpowiedziała. — Stwierdziłem, że Neapol byłby niepotrzebnym przedłużeniem podróży, a bardzo chciałbym już być w domu. Chodźmy obejrzyć jacht — zaproponował. — Mam pani wiele do pokazania.

— Bardzo chętnie — zgodziła się Caterina. Dostrzegł, że poruszyła ją wiadomość, iż nie płyną do Neapolu. Zeszli po schodach i skiero-

wali się do salonu. Caterina krzyknęła zachwycona. Salon urządzony był w kolorze bladozielonym. Dywan miał odcień ciemniejszy niż ściany i sofy, zasłony na bulajach i miękkie poduszki były w kolorze wiosennych liści, na ścianach wisiały francuskie sztychy w złotych ramach. Całości dopełniały kwiaty przysłane im przez przyjaciół z Malty.

— Pięknie — powiedziała Caterina.

— Miałem nadzieję, że spodoba się pani — odparł markiz.

— Czy... zabiera mnie pan... do Anglii? — zapytała nie mogąc dłużej znieść niepewności.

— Jeśli chce pani tam ze mną popłynąć — odparł markiz. — Mam przekazać pani dwie wiadomości, Caterino. Po pierwsze, jeden z ojców redemptorystów popłynął do Tunisu z okupem za resztę załogi w dzień po naszym przybyciu do Valetty.

— Och, tak bardzo się cieszę! — wykrzyknęła Caterina.

— Po drugie — ciągnął markiz — dowiedziałem się, że pewien kawaler maltański wypłynął wczoraj do Wenecji. Powierzyłem mu Koronę Narzeczonej i perłowy naszyjnik. Odda je pani dziadkowi razem z listem. — Twarz Cateriny zachmurzyła się i dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. — Markiz Soranzo dostanie resztę klejnotów — mówił dalej.

— Jak mógł pan zrobić coś takiego? — zapytała gniewnie. — Klejnoty były wszystkim, co posiadałam! Nie miał pan prawa nimi dysponować! Były moje!

— Niezupełnie pani — poprawił ją markiz. — Koronę Narzeczonej wypożyczył skarb państwa, a resztę otrzymała pani z powodów, które przestały być prawdziwe.

— Były wszystkim... co miałam!

— Dam tyle pieniędzy, ile będzie pani potrzebowała.

— Nie chcę... pańskich pieniędzy — odparła Caterina. — Nie mam zamiaru dziękować panu za... czek bankowy!

Przypomniała sobie, w jaki sposób markiz zabezpieczył Odette, a on zrozumiał, dlaczego rozłościła ją myśl, że ma być kolejnym obiektem jego hojności.

— Jeśli nie pozwoli mi pani pomóc sobie, co zrobi pani po przybyciu do Anglii?

— Zamierzam... wstąpić do zakonu.

— Zakony są dla katolików! — Powiedziawszy to spostrzegł, że blade policzki Cateriny powlekają się rumieńcem. Był pewien, że te słowa wymknęły jej się mimowolnie i teraz nie mogła znaleźć dla nich wytłumaczenia. — Chodźmy, chcę pani pokazać inne kabiny — powiedział.

Podążyła za nim, jakby nie mając właściwych słów do odmowy. Otworzył drzwi swojej

kabiny i Caterina weszła do środka. Kiedyś to miejsce było dla niej bezpiecznym schronieniem, pomimo że dzień i noc strzegł ich piracki strażnik. Rozejrzała się wokół i westchnęła cicho.

Poprzednio pokój urządzony był typowo po męsku. Mahoniowe łóżko pokrywały ciemnoczerwone adamaszkowe narzuty, takie same jak zasłony na bulajach. Teraz łóżko stało pod wysokim baldachimem z błękitnego jedwabiu i białego muślinu, podtrzymywanym u góry wieńcem ze złotych amorków.

— Prześliczne! — wykrzyknęła Caterina. — Piękne!

— Miałem nadzieję, że spodoba się pani — odparł markiz.

Podszedł do malowanej szafy, do złudzenia przypominającej tę, w której ukryła się Caterina, kiedy wypływali z Wenecji. Otworzył drzwi i dostrzegła, że szafa, w której kiedyś wisiały ubrania markiza, pełna była sukni kupionych przez nią u madame Rachel oraz tych, których kupienia odmówiła. Stała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w suknię, a na jej twarzyczce malowało się oszołomienie. Nagle poczuła, jak markiz ujął jej dłoń i, zanim zdołała zaprotestować, wsunął na palec złotą obrączkę.

— Tą obrączką cię zaślubiam — powiedział miękko. Otrzymała również pierścionek

z wielkim błękitnym jak morze szafirem, otoczonym diamentami. — Czy naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci nosić klejnoty od innego mężczyzny? — zapytał.

Caterina podniosła ku niemu twarz i spojrzeli sobie w oczy. Przez chwilę żadne się nie poruszyło. Nagły przechył jachtu sprawił, że wyciągnęła ręce, aby utrzymać równowagę. Markiz podniósł ją w ramionach i położył na łóżku.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedział — a równie dobrze możemy to zrobić tutaj. W jej oczach czaił się lęk, lecz kiedy uśmiechnął się, poczuła szybsze bicie serca.

Markiz zdjął elegancki szary surdut, rzucił go na krzesło i przysiadł na łóżku obok niej. Biała lniana koszula z wyszytą koroną książęcą przypominała tę, którą miał na sobie, gdy trzymał ją w ramionach w mniskim więzieniu.

— Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy — zaczął markiz niskim głosem — nosiłaś maskę, Caterino. Sądzę, że nadszedł czas, abyś zdjęła maskę, którą starasz się mnie zwieść.

— Nie wiem... o czym mówisz... panie — zająknęła się.

— Myślę, że wiesz — powiedział stanowczo. — Podczas naszej pierwszej wspólnej kolacji na tym jachcie, zastanawiałaś się, jak każde



z nas zachowałyby się w obliczu prawdziwej próby losu. Pamiętasz?

— Ja... pamiętam — wyszeptała Caterina.

— I powiedziałaś — ciągnął markiz — że w takich okolicznościach można odkryć coś wspaniałego, czego się wcześniej nie znało. — Przerwał i popatrzył na Caterinę. — Odkryłem, że jesteś nie tylko najodważniejszą, zachwycającą osobą, z jaką można stawić czoło niebezpieczeństwu, lecz także, że mnie kochasz. — Caterina krzyknęła lekko i spuściła oczy pod jego spojrzeniem. Rumieniec zabarwił jej policzki. — Myślę, że kiedy trzymałem cię w ramionach w tej odrażającej celi, to była miłość — rzekł markiz. — Upewniłem się co do tego, gdy zaproponowałaś, żebym zostawił cię na brzegu, a sam odpłynął. — Znowu przerwał. Wyciągnął rękę i dotknął jej złotych włosów. — Jeszcze bardziej się upewniłem — ciągnął coraz ciszej — kiedy powiedziałaś, że nasze małżeństwo jest nieważne, bo nie jesteś katoliczką. Skłamałaś, Caterino, żebym mógł poczuć się wolny. Tylko miłość mogła zmusić cię do takiej wspaniałomyślności. — Drżała pod jego dotykiem, a błękitne oczy patrzyły na niego z obawą. — Odkryłem — mówił powoli markiz — że i ja jestem dziko, szaleńczo zakochany, jak jeszcze nigdy w życiu! — Kochasz... mnie? — wyszeptała tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

— Kocham cię — potwierdził stanowczo markiz. — Kocham cię, droga moja — powtórzył —jesteś uosobieniem wszystkiego, czego szukałem w kobiecie i nigdy nie mogłem znaleźć.

Ukryła twarz na jego ramieniu. Pocałował jej włosy.

— Ja... boję się —powiedziała z wahaniem.

— Mnie? — zapytał.

— Nie... oczywiście, że nie!

Podniosła twarz i spojrzała na niego. Pomyślał, że nigdy nie widział tak szczęśliwej, tak promieniejącej miłości.

— Więc co napełnia cię obawą, moja droga?

Zawahała się przez chwilę, a on wiedział, że próbuje znaleźć właściwe słowa.

— Tego, że... znudzę cię — wyszeptała. — Zawsze kochałeś kobiety... doświadczone... wyrafinowane. Boję się, że... w porównaniu z nimi okażę się nieodpowiednia.

— Widzisz, ukochana,, zawsze szukałem podniecia u kobiet, które znałem. A teraz ja chcę być źródłem podniecenia dla ciebie. — Caterina szeptała coś niezrozumiale. — Ale to jest najmniej istotne w tym, co nas łączy —ciągnął markiz. — Podczas ślubu wiedziałem, że słowa, które powtarzałem za ojcem redemptorystą, były całkowicie, zupełnie prawdziwe.

— Caterina poruszyła się w jego ramio-

nach. — Przysięgałem — mówił poważnym głosem — że będę cię kochał zawsze, nawet gdyby sprawy przybrały wtedy jeszcze gorszy obrót. Wiedziałem, że moja miłość do dębie jest święta, a nasze małżeństwo zostało pobłogosławione przez Boga.

— Ja też... to czułam — powiedziała Caterina — ale ponieważ kochałam dę tak... bardzo, nie mogłam znieść myśli, że poślubiłeś mnie tylko dlatego, aby... uratować przed... bejem.

— Zdecydowałem się poślubić dę znacznie wcześniej, zanim dotarliśmy do Tunisu — oświadczył markiz. — Myślę, kochanie, że od początku byliśmy sobie przeznaczeni, a teraz będziemy z sobą do końca życia. — Caterina westchnęła dcho. Podniosła głowę, a markiz znów odnalazł jej usta. — Kocham dę! Uwielbiam dę! — wykrzyknął. — Czy naprawdę myślałaś, że po tym, jak przyrzekałaś „na dobre i na złe”, pozwolę d kiedykolwiek uciec?

— Chdałam... należeć do dębie. Chda-łam... być twoja — wyszeptała — ale nie chdałam, żebyś pomyślał, że... złapałam dę.

— Właśnie to zrobiłaś! — odparł markiz z uśmiechem. — Złapałaś, porwałaś i zniewoliłaś mnie urokiem, od którego nigdy się nie uwolnię.

Caterina roześmiała się radośnie, a on znów ją pocałował. Wtedy poczuła, że każde z nich jest nieodłączną częścią drugiego, byli razem

w świecie tak pięknym, tak doskonałym, jakby był częścią raju.

— Kocham cię... Kocham... — próbowała powiedzieć, lecz pocałunki markiza nie pozwoliły jej mówić.

Nad nimi wiatr wydymał żagle „Jastrzębia Morskiego”, który płynął spokojnie do Anglii.